



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — stron 12

Warszawa, 3 września 1950 r.

Nr 23 Rok I

LEON KRUCZKOWSKI

COŚ SIĘ ZMIENIŁO NA ŚWIECIE...

I.

Korea jest Hiszpanią imperializmu USA — powiedział ktoś, w kulturalnej rozmowie, podczas praskiej sesji Biura Stałego Komitetu Światowego Obrońców Pokoju. Korea 1950 i Hiszpania 1936 — 1938. Istotnie, trudno nie widzieć pewnych zewnętrznych analogii w tych dwóch faktach imperialistycznej agresji. W obu wypadkach wojna domowa, rozpoczęta napaścią wewnętrzną reakcyjnych najmitów na tereny znajdujące się pod władzą rządów ludowych, przeobraziła się w ciągu krótkiego czasu w jawną, nie osłoniętą niczym, bezpośrednią interwencję zbrojną z zewnątrz: w pierwszym wypadku Hitlera i Mussoliniego, w drugim — wojsk Trumana. W obu wypadkach eskadry lotnicze interweniowały z jednakową brutalnością bombardowały i bombardują cudzą ziemię, cywilną ludność miast i wiosek. W obu wypadkach wrzeszczą, antyludowe rządy większości krajów kapitalistycznych poparły agresorów: w wojnie hiszpańskiej metodą bardziej skrytobójczą, zamaskowaną i perfidną, pamiętną metodą „nieinterwencji”, w wypadku koreańskim — jawnie i bez obłonek, chociaż z wyraźną niechęcią do militarne go współdziałania...

Jest jeszcze jedna, zasadniczej natury analogia: w obu wypadkach agresorzy imperialistyczni posłużyli się tym samym motywem — przeciwdziałania „ekspansji komunistycznej”, w obu wystąpili „w obronie zachodniej cywilizacji”. Pod tym względem imperialiści nie są zbyt pomysłowi, liczą co najwyżej na krótką pamięć ludzką. Ludzie jednak widzą wyraźnie, że p. Truman powtarza coraz dokładniej lekcję ze szkoły Hitlera...

Na tym jednak kończą się podobieństwa. Sam przebieg i rozwój wydarzeń jest zgoła różny w obu wypadkach, inne też zapewne będą ich ostateczne rezultaty. Li-Syn-man, koreański Franco, w ciągu paru tygodni zepchnięty został przez wojska ludowe na wąską skrawek południowo-wschodniego wybrzeża półwyspu, a ultra-nowoczesne dywizje jego morderców coraz ciśniej grupują się dokoła drzwi wyjściowych z napisem: Fuzan. Naród koreański wykazał niespodziewaną dla wielu siłę i zdolność przeciwstawienia się agresji i sprzymierzonej z nią zdradzie.

II.

Tak jest, coś się zmieniło na świecie od czasu, kiedy interwencja zbrojna niemiecko-włoskiego faszyzmu mordowała republikę hiszpańską. Nie zmniejszyła się ani trochę zbrodnictwo, brutalność i egoizm burżuazyjnego imperializmu, ale obszar jego panowania skurczył się o dalszych parę milionów kilometrów kwadratowych, bardzo poważnie uszczupliły się materialne zasoby jego potęgi, a jeśli chodzi o potencjał ludzki, to ten nie tylko przesunął się o dalszych przeszło 600 milionów głów na stronę zorganizowanych sił demokracji i postępu: wzrosła równocześnie świadomość i wielokrotnie się potęgowała wola wyzwolenia całej pozostałej reszty mas ludowych Europy, Azji, Afryki, obu Ameryk...

Współczesny światowy ruch obrońców pokoju jest jednym z najdonioślejszych zjawisk wyznaczających wielkość i charakter przemian, jakie się dokonały w ciągu tych dwunastu lat — między Hiszpanią a Koreą. Jest on zjawiskiem — jeśli chodzi o skalę i natężenie działania — bez precedensu w historii. Jest on już dzisiaj jednym z decydujących czynników rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Pierwsze, niespełna trzy miesiące akcji Apelu Sztokholmskiego przyniosły, według oficjalnych danych (niepełnych) z dnia 8 sierpnia, 273 miliony podpisów. Liczba ta oznacza, że co szósty dorosły człowiek na kuli ziemskiej podpisał się pod Apellem. Już ten pierwszy — częściowy, daleki od ostatecznego *) — rezultat ma swoją potężną wymowę. Są w liczbie tej miliony takich podpisów, które były prawdziwymi aktami wysokiej odwagi cywilnej — to przede wszystkim podpisy zebrane w USA i Japonii; są i takie, za którymi stoją potężne, zorganizowane siły obronne oraz wypróbowany duch męstwa i najwyższej ofiarności — to przede wszystkim podpisy zebrane w Związku Radzieckim. Nie ma w świecie współczesnym drugiej idei sformułowanej w dokumencie politycznym, która byłaby zdolna skupić za sobą — niezależnie od narodowości, wyznania czy

światopoglądu — potencjał świadomości i woli ludzkiej równy temu, jaki zmobilizowała już dotąd idea Apelu Sztokholmskiego.

W tym jasnym i zwyciężym, dla każdego uczciwego człowieka zrozumiałym akcie narody otrzymały narzędzie obrony daleko potężniejsze niż przypuszczają ludzie o leniwych i ciasnych umysłach. Gdyż tylko tacy ludzie nie mogą pojąć nic więcej ponad swoje ciasne doświadczenie, które mówi im rzekomo, iż są zaledwie marnymi, nie znaczącymi kółkami w olbrzymiej maszynie, na której ruchy nie mają i nie mogą mieć żadnego wpływu. Tylko człowiek o leniwym i ciasnym umyśle może wierzyć fatalistycznie, że losy świata od niego nie zależą. Od niego nie, ale od milionów takich jak on, zwykłych, prostych ludzi — na pewno tak! Świadomość i wola milionów prostych ludzi, zespolona i działająca w jednym kierunku — oto największa siła współczesnego świata. Ci, którzy tego nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć, są tak samo niebezpiecznie ślepi jak inni, którym się zdaje, że dolar jest bogiem naszych cza-

sów, a bomba atomowa — jego wszechmocnym piorunem.

Parę lat temu, kiedy Europa pławała się we krwi, kiedy padały w gruzach jej miasta i płonęły jej skarby kultury — w bilansach wielkich koncernów bankowych i przemysłowych zyski i dywidendy skakały w górę jak gorączka człowieka chorego na tyfus. Potenci dolar i funta śledzili rosnące cyfry swych dochodów, narody Europy i Azji liczyły swoich zabitych, rannych i zakatowanych. Rachmistrze nowojorscy i inni wiedzieli, że każdy tysiąc zabitych i każda tona gruzów w Europie i Azji — to ileś tam procent zwykłej kursów akcji i stopy dywidend.

W lecie 1950 ci sami ponurzy rachmistrze pilnie czytali inne biuletyny: te, które donosiły o przebiegu akcji sztokholmskiej. Ale wymowa tych biuletynów jest dla nich zupełnie inna: każdy tysiąc, każdy milion podpisów pod Apellem, to przekreślenie jakiejś tam pozycji w planach nowej wojny, jakiejś tam sumy w przewidywanych nowych zyskach, nowych dywidendach „przemysłu śmierci”.

III.

W sprawozdaniu, ogłoszonym przez Biuro Stałego Komitetu Światowego Obrońców Pokoju i przedyskutowanym na sesji w Pradze, niczyjej uwagi nie mogło ucieść stwierdzenie, że wybuch wojny na Korei uderzająco spotęgował — zwłaszcza w krajach kapitalistycznych — rozwój akcji sztokholmskiej. Niejako z dnia na dzień narody świata spostrzegły, że walka w obronie pokoju nie jest żadną propagandową zbiórką autografów, żadną oderwaną deklaracją na rzecz pewnej — jednej z wielu — form politycznej, ale zupełnie praktycznym, twardym nakazem chwili. Dzień 25 czerwca niewątpliwie zaktywizował jeszcze mocniej wolę obronną narodów przeciw imperialistycznym podpalaczom. Tym ostrzej jednak postawił on przed światowym ruchem obrońców pokoju konieczność jak najszybszego określenia tego, z czym walczymy, a tym samym jeszcze szersze — niż dotąd zasięgu ruchu, jego podst. mobilizacyjnych. Stało się to tym bardziej konieczne — jak się okazało z analizy dotychczasowego przebiegu akcji

sztokholmskiej — tu i ówdzie występowały błędne tendencje zacieśniania jej sensu tylko do sprawy zakazu broni atomowej. Budziło to niejednokrotnie, u ludzi najlepszej nierzad woli, dezorientujące wątpliwości wyzykiwane skwapliwie przez brudną, wrogą Apelowi Sztokholmskiemu propagandę świadomych, agresywnych przeciwników ruchu pokojowego, zwłaszcza w krajach kapitalistycznych.

Sesja praska podjęła tę sprawę. Kończąc jej rezolucja, nie umniejszając w niczym znaczenia dalszej walki o zakaz broni atomowej, jako wyraźnej agresywnej i zagrażającej przede wszystkim ludności cywilnej, podkreśliła dobitnie cel generalny ruchu obrońców pokoju: niezłomną walkę o powszechnie i kontrolowane ograniczenie zbrojeń, walkę przeciw wszelkiej formie agresji i zbrojnego mieszania się w sprawy wewnętrzne narodów. To szerokie sformułowanie będzie podstawą II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, który — jak wiadomo — odbędzie się w drugiej połowie listopada br. w Wielkiej Brytanii.

IV.

Warto jest dzisiaj, w roku 1950, prześledzić krótką polityczną historię międzynarodowego lat 1938 — 1939. Co w niej uderza, to wręcz zdumiewająca ruchliwość i nerwowość dyplomacji głównych krajów kapitalistycznych w rzekomych jej wysiłkach, które zmierzały ponoć do zapobieżenia wojnie, a których haniebnym symbolem stało się „Monachium”. Równie uderza brak w obrazie tych lat zjawiska, które odpowiadałoby dzisiejszemu światowemu ruchowi obrońców pokoju, brak faktów w rodzaju Kongresu Paryskiego czy akcji sztokholmskiej. Ówczesne życie międzynarodowe falowało niespokojnie pod znakiem sensorycznych podróży i spotkań: Hitlera i Mussoliniego, Chamberlainów i Daladierów, Bonnetów i Ribbentropów, czy nawet bardziej podrzędnych Becków i Stojadinowiczów. Jak wiadomo, skutki tych wszystkich „sensacji” dla zainteresowanych narodów były zupełnie obojętne. Cóż jednak innego mogło wynikać z wizyt i rewizyt pomiędzy gangsterami z jednej a handlarzami losu swych narodów z drugiej strony? Cóż innego mogły przynieść zabiegi „ratowania pokoju” polegające na sprzedawaniu jednych przez drugich — z jednym jedynym w istocie, że ukrywaniem celem właściwym: wymarzonej krucjaty powszechnej na „tego trzeciego”, na pierwsze socjalistyczne państwo robotników i chłopów?

W Polsce, której 1 września 1939 hukiem bomb hitlerowskich objawili się ostateczne konsekwencje burżuazyjnej polityki „obrony pokoju” — w jedenasty rocznicę tamtej tragicznej daty zbiera się pierwszy krajowy Kongres Obrońców Pokoju: ważne ogniwo olbrzymiego ruchu międzynarodowego, którego wtedy tak bardzo zabrakło. To zestawienie ma swoją dobitną wymowę.

Cztery zbrojecko-handlarskie podpisy na układzie „monachijskim” — i setki milionów podpisów pod Apellem Sztokholmskim: to nie tylko różnica dwóch liczb. To przede wszystkim zupełnie inna niż przed 12 laty, całkowicie nowa sytuacja historyczna. To niezbitny fakt powstania nieznanego dotąd w stosunkach międzynarodowych potęgi woli zbiorowej, ożywionej jedną myślą, jednym dążeniem: stanowczego i ostatecznego izolowania współczesnych podlegaczy wojennych, obezwładnienia imperialistycznej bandy wrogów ludzkości i przekreślenia raz na zawsze ich zbrodniczych planów.

1 września 1939 Polska, okładana bombami faszystowskimi, miała na sobie tylko angielski plaster „gwarancji” p. Chamberlaina.

1 września 1950 naród polski, reprezentowany przez swój Kongres Obrońców Pokoju, czuje się cząstką olbrzymiej, po raz pierwszy w takiej skali i tak widomie zjednoczonej potęgi pokojowej ludów, skupionej dokoła przodującego w pracy i walce Związku Radzieckiego i jego umiłowanego wodza, Józefa Stalina.

W dniu tym, z przywróconej do życia Warszawy prześlemy serdeczne pozdrowienia braterskiej solidarności dalekiemu narodowi koreańskiemu, który — niezastraszony bombami amerykańskich napastników — zwycięsko składa przed światem najświętsze świadectwo niewstrzymanego marszu historii: marszu ludów do ostatecznego wyzwolenia z jarzma imperializmu, marszu do demokracji i pokoju, niezłomnego marszu ludzkości do socjalizmu.



*) Najświeższe oficjalnie nieogłoszone jeszcze sprawozdania mówią, że miesiąc sierpień przyniósł dalszych 63 miliony podpisów.

JEAN KANAPA

List z Paryża

Naród francuski wygra tę bitwę

Na posiedzeniu Biura Informacyjnego partii komunistycznej i robotniczych w listopadzie roku 1949 M. Susłow wywołał:

„Jednym z głównych sposobów urabiania ideologicznego krajów zamerykanizowanych jest zalewanie ich amerykańskimi powieściami kryminalnymi i filmami hollywoodzkimi, których bohaterami są zawsze gangsterzy, mordercy, sadyści i uwodziciele, obłudnicy i oszuści. „Sztuka” i „literatura” tego typu demoralizuje i ogłupia widza i czytelnika.”

Każdy nowy „produkt” artystyczny, a zwłaszcza literacki, imperialistycznej burżuazji amerykańskiej potwórzona słusność tych słów. Dzisiejsza amerykańska literatura burżuazyjna jest celowo zatrutą, całkowicie przeznaczoną na to, aby wyrobić w narodzie amerykańskim światopogląd najemników. Działanie jej jednak nie ogranicza się tylko do użytku wewnętrznego. Żadny panowanie nad światem imperializm amerykański dąży do rozszerzenia ekspansji na wszystkie dziedziny: ekonomiczną, militarną, polityczną — a także ideologiczną. Oto dlatego masowo eksportuje swoją upodlającą literaturę przeznaczoną dla krajów marshallowskich, których skolonizowane jest dla niego sprawą prostą i oczywistą. Urabianie światopoglądu ludności tych krajów ma dwa cele: z jednej strony — ogłupić i uspić te narody, zrobić z ludzi bezmyślnych helotów, z drugiej strony, zaszczepić w ich sercach nienawiść do socjalizmu, do demokracji, do Związku Radzieckiego i republik ludowych, wpoić w nich przekonanie o konieczności wojny antyradzieckiej, wojny atomowej. Różnego typu publikacje o charakterze otwarcie lub pośrednio antyradzieckim i antyludowym zalewają te kraje, a szczególnie Francję.

W wykonywaniu tego planu wydawniczym p... gają amerykańskiemu imperializmowi pisarze krajów burżuazyjnych, które trzyma pod swym batem. Własnym upodleniem wspomagają propagandę amerykańską, którą Maurice Thorez określa jako perwersyjną działalność umysłową, jako anarchię intelektualną, dezercję obywatelską i zepsucie moralne. Reakcyjna prasa i radio hałaśliwie propagują te „dzieła”.

Na pewno nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na aspekt z sadyści i bardzo istotny dla literatury burżuazyjnej krajów marshallowskich: usprawiedliwienie zdrajcy. Zdrajca, renegat, szpieg — oto główni „bohaterowie” pisarzy burżuazyjnych naszych czasów, obiekty ich troski literackiej, tematy ich dociekań psychologiczno-politycznych.

Od samego początku dekadencji burżuazji jej artyści, jej pisarze i ideolodzy poświęcili się obronie „człowieka marginesu”; Emmy Bovary i „mordercy stódkich wód”, coraz bardziej się staczając, ustąpił miejsca demoralizatorom, homoseksualistom, sadystom, umysłowo chorym, gangsterom... Dzisiaj burżuazja lansuje nowego bohatera, który najlepiej odzwierciedla jej obecne potrzeby: Krawczenkę. Jego ideologia — to zdrada narodowa, jego polityka — to proceder szpiestwa. Żeby usprawiedliwić swego bohatera, jego literacy protektorzy odrzucają honor jako przestarzałe pojęcie, szpieca robią żołnierzem metafizyki, zdrajcę — ciekawym przypadkiem psychologicznym. A odwagę — sprawą gruczołów. „C to jest odwaga?” — zadaje sobie pytanie bohater pisarza-szpiega, Koestlera. I zaraz odpowiada: „Sprawa gruczołów, nerwów, układu sympatycznego uwarunkowanego dziedzicznością i doświadczeniem. Kropla jodu mniej w tarczycy — i oto sadyści na guwernantka, ciotka zbyt efektywna; nieznaczne zmiany w oporze elektryczności w ośrodku mózgu — i bohater zmienia się w tchórza, patriotę — w zdrajcę. Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, która stanowi związek między przyczyną i skutkiem, procesy moralne tracą swój niby moralny pierwiastek, tak jak butelka lejdecka rozładuje się przy zetknięciu z dobrym przewodnikiem”.

Dlaczego to odczuwaczem człowieka? Dlaczego to zastępowanie ludzkiego piękna i bogactwa osobowością ludzką przez mechaniczny automatyzm? Dlatego, że w ten „naukowy” sposób przywraca się starą prawdę burżuazji, że „natura ludzka jest niezmienna”. I przede wszystkim dlatego, że w rezultacie nikt nie odpowiada za swoje czyny: „Czyja to wina, że zdradziłem swoich towarzyszy, swój kraj? Stało się tak po prostu dlatego, że urodziłem się z niedostateczną ilością jodu w tarczycy”.

W ten sposób pisarze ci starannie ukrywają fakt, że zdrada ma charakter klasowy. Podobnie starannie usuwają ze swoich powieści albo ukazują w wulgarnie zniekształconej formie element rzeczywistego bohaterstwa, bohaterstwa świadomego prawdziwych rewolucjonistów, rzetelnych bojowników ruchu robotniczego.

Jedną z funkcji literatury burżuazyjnej — bardzo ważną w dzisiejszych czasach — jest zaprzeczanie rzeczywistości. Dla osiągnięcia tego celu literatura burżuazyjna posilkuje się jedynym sposobem, jaki jej jeszcze pozostał: działa nie przez przeciwstawienie jakiegokolwiek rzeczywistego, której wyższość mogłaby przyćmić tę, z którą burżuazja walczy, gdyż takiego przeciwstawienia uczynić ona nie może. Wodźowie jej są ludźmi zdeprawowanymi, sprzedajnymi, jej żołnierze to najemnicy, jej wielkie czyny to intrzygi kuluarowe i palki policyjne. Jedyny sposób zaprzeczenia rzeczywistości zarówno dla niej, bo musi sobie utwierdzać w swych przekonaniach, jak i dla tej części opinii, która jeszcze znajduje się pod jej wpływem, a którą musi ogłupiać — to fikcja literacka, co do której przynajmniej, że nie należy jej brać dosłownie.

Jednocześnie jednak zalewają jej na tym, by przeczyć istnieniu rzeczywistości socjalistycznej, rzeczywistości już objawionej, rzeczywistości ruchu robotniczego,

wielkości celów, do których dąży ludzkość, męstwa jej bojowników, szlachetności wodzów. Przede wszystkim uspokaja to sumienie, następnie daje możliwość utrzymania jeszcze przez pewien czas z dala od ruchu robotniczego tych elementów, które ciężą jeszcze ku niej i znajdują się jeszcze pod jej wpływem.

W ten sposób pisarze burżuazyjni fabrykują „komunistów”, których zadaniem jest pomniejszyć odwagę, przytomność umysłu i bohaterstwo prawdziwych komunistów, fabrykują hasła „komunistyczne” przeznaczone do zniekształcenia słuszności sprawy komunizmu.

Fakt, że wbrew temu wszystkiemu istnieją Dymitrowowie (widzieliśmy go w Belgradzie, gdzie gen. Dapcewicz, prawdziwy komunist-internacjonalista, oskarżony przez faszystowski rząd Tita, sam stał się neublaganym oskarżycielem tego zaradzieckiego rządu) — jest nie na rękę burżuazji. Jest to zły przykład dla ludu, a ona, burżuazja, nie potrafi przeciwstawić temu faktowi żadnego „przykładu”, który by wskazywał drogę masom.

„Klasa burżuazyjna nie może już rozbudzić w swoich szeregach prawdziwej odwagi, prawdziwego bohaterstwa. Jest to klasa, która ginie i nie ma już przed sobą żadnych perspektyw. To prawda, że przed trybunałem walczyłem do końca w sposób zaciepny, konsekwentny i bezwzględny. Mówię o odwadze, o bohaterstwie przed trybunałem. Widzicie — nie bać się śmierci to nie jest osobiste bohaterstwo, to cecha komunizmu, rewolucyjnego proletariatu, bolszewików”. (Dymitrow, 1934).

Dymitrowowi, temu typowi człowieka, którego przykład podziwiał z sobą tysiące bohaterów, tym wszystkim, którzy podejmują dewizę Dymitrowa: „trzeba być zdolnym do podporządkowania całego swojego życia osobistego interesom proletariatu” — burżuazja i jej pisarze mogą przeciwstawić tylko chorobliwe i tchórliwe twory inteligencji, która pragnie podporządkować interesy proletariatu małym metafizyczno-sentymental-

nym komplikacjom swojego osobistego życia. Kiepskie przeciwstawienie!

Przychodzą na myśl słowa Laurenta Casanovy, który przewodniczył pewnego wieczoru na konferencji czasopisma „Nouvelle Critique” w Paryżu:

„Dwadzieścia lat temu w tej sali młodzi studenci-komuniści walczyli wraz z innymi o wolność myśli przeciwko brutalności reakcyjnych zwolenników Ch. Maurrasa. Na usta cisną się nam nazwiska: Ténise rozstrzelany w Cha-teaubriant, Walentyń Feldman rozstrzelany w Caën, Danielle zmazała w Oświęcimiu. Ci dokonali wyboru. I znaleźli w końcu w partii proletariatu siłę, aby uczyć wie i na serio pozostać w zgodzie z idealami swoich lat dwudziestu. To są nasi świadkowie. To są nasze wieczne żywe dowody”.

Niechże tamci nauczyciele postawy moralnej pokażą nam swoje. Nie potrafią nigdy pokażać nam nie poza nędznymi bohaterami, njezorg-nowanymi, pustymi, gubiącymi się w sprzecznościach, ściszającymi się coraz niżej, aby skończyć w obojętym i w służbie swoich własnych wrogów. Gardzimy ich moralnością.

Wśród tych „nędznych bohaterów” dzisiejsza burżuazja upodobała sobie specjalny typ zdrajcy: typ renegata rewolucyjnego ruchu robotniczego. Z miesiąca na miesiąc rośnie ilość książek napisanych przez rozmaite indywidua, które twierdzą, że były członkami partii komunistycznych, albo dostarczają rzekomo „sensacyjnych rewelacji o Związku Radzieckim i republikach demokracji ludowej”. „Spowiedź polityczna” staje się modną. Ludzie ci dla dodania wagi swojemu ordynarnym kłamstwom krzyczą na całe gardło, że są zawsze „socjalistami”, „rewolucjonistami”. Mówią nawet, że są bardziej „socjalistami”, „rewolucjonistami” niż ktokolwiek inny, bardziej niż komuniści, bardziej niż stalinowcy... W rzeczywistości zaś ani teraz ani nigdy nie byli bojownikami rewolucji. Są tylko awanturnikami nowego typu, który stworzyła chyliąca się ku upadkowi burżuazja w ciągu ostatnich pięćdziesięciu kilku lat.

Ongiś, w młodzieńcym, rewolucyjnym wieku burżuazji, kiedy to odrzucała ona ideologię feudalnych możnowładców, kiedy występowała przeciw Kościółowi, bo kępowały ją jego przepisy, sankcje, jakiejś udziału feudalizmowi, wrogość wobec nowych dążeń — awanturnik, zaprzeczenie starego systemu wartości i wyzwanie rzucane dawnemu sposobowi życia, zjawia się w literaturze, bo w życiu jednostka we wszystkich dziedzinach wchodzi w konflikt ze starym społeczeństwem. Ale później Faubertowie i ich „Szkoły serc” zjawiają się już tylko po to, żeby wywołać wspomnienia młodości — nie więcej. „Jak najwymyślniej było się w dwudziestym roku życia! Wierzyło się w sprawiedliwość, w naród, w rewolucję socjalną. Obecnie nauczony doświadczeniem straciłszy już wszelkie złudzenia” Wkrótce ich żony i córki czubkami swoich parasolek wydlubią oczy komunardom. Ach prawda! Pozostał jeszcze jeden typ awanturnej przygody — wyprawa kolonialna. Marco Polo staje się porucznikiem marynarki w wojnie tonkańskiej albo k-mendantem spahisów w wojnie marokańskiej. Powstaje z tego cała literatura w dosyć marnym gatunku.

Jeszcze jeden szczebel niżej po drabinie prowadzącej do grobowca burżuazji — i widzi się już tylko „awanturnika”, który na dalekich ziemiach kradnie tu-byłcom dzieła sztuki, aby przemycić je c'chaczem, przehandlować i zarobić na luksusowe życie jako zdobywca intelektualny... Takim właśnie jest ideolog degaullizmu André Malraux. A na najniższym szczeblu SS Skorzeny (którego domniemane „pamiętnik” niedawno opublikował francuski burżuazyjny dziennik „Figaro”) oczekuje swojej kości i swego powrotu.

Niektórzy „romantycy” mieszczańscy i awanturnicy usiłują zaszczepić proletariatu swą własną ideologię klasową. Niejak J. P. Sartre podszeptuje mu „nową teorię” rewolucji, która miałaby tę zaletę, że mogłaby się obejść bez materializmu, tej trucizny dla intelektualistów-mieszczucha. Ludzie z francuskiego dywersyjnego czasopisma „Esprit” zapewniali, że jedyną obiektywną szansą dla komunizmu, aby móc zrealizować huma-

nizm socjalistyczny po jego heroicznym okresie — to postucha Vercorsa, Cassou, „Esprit” i wielu innych im podobnych.

Zdarza się, że taki mieszczańsko-intelektualista wstąpił nawet do partii proletariackiej, żeby zrobić tam „swoją” rewolucję — i dochodzi do wniosku, że partia proletariacka ma inne troski, a walka jest dla niej chlebem codziennym. Jego cynizm przegrzywa w zetknięciu z tymi ludźmi a celną parodoks nie przynosi mu już siawy. Stwierdza, że pozostała „nu jedynie skrucha. Powraca do swojej klasy, on — syn marnotrawny — gdzie go od razu (nareszcie) przyjmują z otwartymi ramionami. Sława? Wystarczy mu wciąż pióro do ręki, aby poczuł, jak mu ona napelnia kieszenie. Staje się bohaterem, w'ęcej — ekspertem. Widział „drugą stronę”, „przekonał się”, „wie”. Jeszcze trzeba, żeby płacił. Żeby płacił bez przerwy — i coraz więcej — cenę pokuty, która mu została wyznaczona. W jego środowisku wszystko daje się spieniężyć. Robi mu się wielką reklamę, otwierają się przed nim kolumny wielkiej prasy, ale musi wyrzec się swej przeszłości. Pozwalają mu wykorzystać salę sądową i prokuratora dla przeprowadzenia wielkiego procesu, ale musi wyrzec się swego kraju. I jeżeli nie szpiegował już wcześniej, kiedy był „po tamtej stronie”, to będzie szpiegował obecnie. Nadejdzie dzień, gdy „spalą” go jak zużyta szmatę.

Renegat, który został publicznie i szpiegiem, to taki nowoczesny „awanturnik”, wytwór burżuazji naszych czasów. Uscabia go współczesny pisarz burżuazyjny i jego romantyczny bohaterowie. Etykieta „socjalisty”, którą ukazuje swojemu burżuazyjnemu czytelnikowi, wcale go nie przeraża. I słusznie — nie ma awanturnika „socjalisty”.

Oto ludzie, którzy własnymi rękami zbrukali swe życie i uczynili je przedmiotem pogardy dochodząc do pogardy dla siebie samych. Jeden z nich, który przyjechał do Paryża po wyzwoleniu, mówił, że „bo” się komunistów, w rzeczywistości zaś chciał się ukrywać i unikał miejsca, w których mógł być poznany. Czyżby to oznaczało, że odczuwał fizyczny strach przed francuskimi komunistami? Nie, komuniści nie są terrorystami. Wiedział doskonale, że nie otrzyma nawet dobrze zasłużonego „kopniaka”. Miał tylko przeraźliwie nieczyste sumienie. Mówił o „strachu”, ale to wstyd go pożerał. Twarz każdego komunisty była dla niego żywym wyrzutem, budziła w nim oskarżycielskie wspomnienia dziesiątków tysięcy komunistów poległych w czasie wojny z faszyzmem, w obronie swego kraju, któremu pozostał wierny aż do śmierci. Takim był Gabriel Péri, kiedy 15 grudnia 1941 roku, przed śmiercią tymi słowami zakończył swoją autobiografię, której wielkość — jak sam to określił — zawdzięcza swojej partii, partii proletariackiej:

„To wszystko. Lata nie uczyniły mnie sceptykiem i nie zmieniły moich dawnych poglądów. Niezależnie dlatego, że zamiast trzymać się ślepo formuł, pierowałem się raczej rozumem, który je ożywił. To uchroniło mnie przed niebezpieczeństwem połowicznego życia. Chcę przez to powiedzieć — życia bez celu i bez treści, pustej egzystencji. Nie wyrzekłem się niczego z poglądów, w które wierzyłem w młodości i które pokochałem”.

I w liście pożegnalnym:

„Niech moi przyjaciele wiedzą, że pozostałem wierny ideałowi swego życia, niech moi rodzacy wiedzą, że umieram po to, żeby żyła Francja. Ostatni raz robię rachunek sumienia. Jest on decydujący. Gdybym miał rozpocząć życie na nowo, wybrałbym tę samą drogę”.

Péri, Sénard, Danielle, Lacazette, Timbaud, Guy Moquet... wszyscy nasi zmarli towarzysze są naszymi wczynie żywymi dowodami i jedynie właściwymi sędziami wszystkich oszczerców świata.

Nawet w powieściach pisarzy policyjnych, w ich deklaracjach metafizyczno-politycznych i w użytku, jaki ze swoich „idei” robią publicyści antyradzieccy i antykomunistyczny, zarysowuje się dostrzeżenie cel całej ich działalności. Ponieważ klasa robotnicza zagraża ich przywilejom w sposób coraz bardziej zorganizowany, ponieważ sukcesy, jakie osiągnęła jednocząc i wznosząc na dotychczas nieosagalne wyżyny szczęśliwe życie narodów radzieckich, zaprowadzając w krajach Europy środkowej i wschodniej ustrój demokracji ludowej, wyzwalając Chiny spod najokrutniejszego jarzma imperialistycznego, niosąc całemu proletariatu europejskiemu nadzieję trwałego pokoju, dążąc przez stworzenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej do całkowitej demokratyzacji zjednoczonych Niemiec, biorąc coraz większą odpowiedzialność za walkę o demokrację i o pokój w naszym własnym kraju — ponieważ te osiągnięcia doprowadzają ją do szafu, burżuazja lokuje wszystkie swoje nadzieje w powaśnieniu narodów. Tak, wszystkie swoje nadzieje. Gdyż wie ona dobrze, że wojny jako takiej, wojny, którą uważa za „swoją” środek zaradczy, nie uda jej się wywołać bez wstępnych przygotowań: trzeba przedtem podburzyć narody przeciw sobie, narody krajów, w których jeszcze rzadzi, przeciw narodom już wolnym. I to by jeszcze nie wystarczyło, bo przeciw jej planom buntuje się każdy z „jej” narodów. Muszą więc szukać sposobów, aby rozbić ruch robotniczy i pokornie zwolenników pokoju we wszystkich krajach.

W tym celu potrzebni jej są Rajkowie i obrońcy Rajków. Bardzo znamienne jest, że w ostatniej pracy Jamesa Burnhama, zatytułowanej beczelnie „Ku klęsce komunizmu”, ów teoretyk amerykańskiego imperializmu — jako główny środek akcji mającej na celu utratanie panowania USA nad światem proponuje wprowadzić

(Dokończenie na str. 11)

ANDRZEJ MAKUTYNOWICZ

WIERSZE O FRANCJI BATAILLE DU RAIL PARTIA ROZSTRZELANYCH

Kiedy myślę o Francji — Nord,
mam w myśli dymy i hałdy,
francuski Śląsk.

Ale tamte hałdy są ponure
kawałki węgla spośród kamieni
zbierają ludzie.

Domy mają czarne szyby
a od huku walących się kopalń
ziemia drży.

Pociąg wioził broń
przez hałdy
i osiedla

Za nim szła śmierć
i przekleństwa

Wagony niosły wojnę
kutą żelazem
i ból

Za pociągiem ciągnęły
myśli jak dymy
hut.

Spod zawalonych sztolni
z chodników które się zapadną
biją serca jak dzwon.

Robotnicy ci co zginęli
robotnicy co jeszcze zginą
mają dość wojen.

Z chodników które się zapadną,
z kopalń starych i hut
idzie milion serc

A pociąg idzie ponury czarny,
wiezie armaty, broń, czolgi
gazową śmierć

Patrzą stojący na hałdach ludzie
ciągną górniczy pod ziemią
widzi Dien.

Nie! Pociąg musi stanąć zaraz
Dosyć krwi — więcej nam chleba
zaraz słyhać śpiew.

Sztolnie nie po to grzebią trupy
nie po to muskuły nam twardnieją
by w obcym boju leć!

Nasza walka to walka o szyny
Położmy na torach przeszkodę z serc
wielki jest ludu gniew.

IV

Na torze zatrzymała ciałem swoim
pociąg śmierci córka górnika
Raymondne Dien.

Skladam hold
Partii Rozstrzelanych

ludziom bratniej
Francji.

Było ich sto tysięcy
prostyh ludzi.
Po stu,
po pięciu,
po dwudziestu,
po trzy tysiące
rozstrzeliwali Niemcy.

Francja ma Oświęcim
Francja ma Pawiak.

Skladam
hold
Partii Rozstrzelanych.

Ginęli wszędzie,
— winne grona
padały w doły egzekucyjne.
proste były życia,
cele proste,
śmierć prosta.

Kiedy nad Francją
wisiało niebo Van Gogha,

Piaskowcowymi drogami
szedł postrach.

Budynki fabryk i kopalń
warczały zajadle,

Arago odmierzał czas
który siedł nad światem.

Skladam hold
Partii Rozstrzelanych
tych stu tysięcy

Kwiaty mocno pachną
ciała niedaleko są ulic

Gdy przyjdzie czas
zójgajemy
pójdą stary świat burzy.

JULIAN TUWIM

HURAGAN I... HABERDASHER

Główną cechą myślenia mieszczańsko-burżuazyjnego jest upraszczanie, ułatwianie sobie wszystkiego: żeby było wygodnie; żeby się bez trudu i kłopotów zmieściło w jakiejś podręcznej, usłużnej formie, którą można bez wysiłku operować i stosować w życiu. Takie myślenie jest oczywiście antymyśleniem, bezmyślnością. Ale mieszczech mało o to dba. Skoro jakieś zagadnienie zostało już raz „ujęte”, choćby najpłycej i najabsurdalniej, mieszczech ma spokój, a o to mu tylko chodzi. Famusow w „Gorie ot uma” wypowiedział to w zastosowaniu do papierów kancelaryjnych: *Podpisano, tak s plecz doloj*, czyli, jak się u nas mówi, „odpaskowane”, „odfajczone”. Nalóg myślowego odpaskowania prowadzi do niedźnego sloganizmu, tj. do idiotyzmu. Przed każdym bowiem — i po każdym — wydarzeniu w dziejach ciągnie się łańcuch przyczyn i skutków, których ognia są elementami tego wydarzenia: żadnego z nich nie wolno pominąć, gdy się pragnie je zrozumieć i wyciągnąć z niego wniosek; kto zaś, myśląc, nie łączy się z trzema etapami każdego zjawiska: przyczyna, fakt i skutek — ten jest idiotą. Mieszczech jako typ intelektualny dlatego właśnie jest idiotą, że nie chce i nie umie myśleć historycznie.

Jednym z pamiętniejszych okazyj drobno-mieszczańskich prostacka myślowego było „ujęcie” wielkiej Rewolucji Październikowej. Pomijając posępne brednie o „masońsko-żydowsko-niemiecko-bolszewickim spisku” etc. wpompowywane do głów nieszczytnych czytelników naszej prasy przez ćwierć wieku blisko, za szczyt myślenia kategoriami historycznymi uchodziła w kołach burżuazyjnych teoria, według której Rewolucja roku 1917 spowodowała klęskę militarną armii rosyjskiej. W tym rozumowaniu jest istota rzeczy na cał, lut i minucie, gdy prawdziwe powody mierzyć należy wiekami, masami i tysiącami „historycznych mil”.

Oto najświeższej daty przykład pływaczmy myślowej przeciętnej burżuazji: „Agenci Moskwy wywołują rewolucję komunistyczną w Azji”. Inaczej sobie tego nie może wyobrazić, jak za pomocą „moskiewskich intrgów”, agitacji propagandy etc. Gdyby nie ta szatańska Moskwa, wszystko by, proszę państwa, było w najlepszym porządku: Malaję, Indonezję, Chinę, Wietnam, Indie, Koreę — wszystko by siedziało cichutko jak mysz pod młotem i wznosiło modły do kochanych Anglików, Amerykanów, Holendrów i Francuzów! Błogosławiliby przesyłających potężnych korporacji kauczukowych, ołowianych oraz wszelkich maczurów, najserdeczniejszych swoich przyjaciół, opiekunów i dobrodziejów! Ale przyjechali, proszę państwa, agenci Moskwy i namówili 450 milionów Chińczyków, żeby się „skomunizowali”. Cały tydzień namawiali! Wreszcie Chińczycy machnęli ręką i powiedzieli: no, dobrze! niech już będzie! A teraz ci sami agenci pojechali do 350 milionów Hindusów i znowu namawiali. A nie dalej jak za pół roku pojedą do Afryki i tam zaczną...

Ale o tym, że i niejaką Historią ma tu coś do powiedzenia, że rewolucja azjatycka są wynikiem kryzysu systemu kolonialno-imperialistycznego, że są one jednym z najdotkliwszych objawów ciężkiej śmiertelnej choroby kapitalizmu — o tym mieszczech woli nie myśleć, bo to i trudne i niewygodne. Woli slogan o agentach.

dżentelmenów, których stałym miejscem pobytu jest Londyn. Oni, krajowcy, tubylcy, aborygeni roszczą sobie prawo do zysków osiągniętych z plodów swej ojczyzny. Pragną za te pieniądze budować szkoły, szpitale, teatry, biblioteki, domy mieszkalne — dosyć bowiem mają wiekowej nędzy, ciemnoty, brudu, głodu i poniewierki, w jakie wpędzili ich, jako „dzikusów” i „ludożerców” dżentelmeni w korkowych kaskach i z bambusowymi trzcinaми w rękę. Byłem tylko przez jeden dzień na Trinidadzie, ale



wystarczyło mi tego dnia, abym na własne oczy przekonał się o zewnętrznej choćby rzeczywistości na wyspie kolonialnej. Młodzieńco najmniej tak samo inteligentna jak wychowankowie Epsomu czy Oxfordu, tylko bez tych warunków i możliwości, co angielscy panicyzycy, młodzież ta już wie, już ją doszły słuchy, że na terenie Związku Radzieckiego coraz więcej zjawia się turkmeńskich lekarzy, baszkirskich inżynierów, azerbejdżańskich fizyków i kirgiskich filmowców; wie również, jaki właściciel wstrętu i pogardzie żywią wszelkie „demokratyczne” macatury dla narodów kolonialnych — i wie, że tego pokroju mieszańce mikada z Goeringiem, gdy będzie trzeba wyrzyna, wytrzebia, wypala bez litości setki tysięcy spokojnych, dobrych ludzi, jak wypalili i wyrznieł na dużo lat przed Hitlerem „swoich” Indian, „swoich” Australijczyków czy Zulusów. A jeżeli nie wyrznie, to znieprawili wodką, grozowymi błyskotkami, za które wymaniali knesce — cały Manhattan, na którym zbudowano Nowy Jork, kupili amerykańscy pionierzy od Indian za jakiś haberdaszerki szmela wartości 24 (dwudziestu czterech) dolarów; umyślnie, celowo trzymali w ciemności, zabobonach, które można było przecieć wytepić, we wpajanych im bezustannie pouczeniach, że są przedstawicielami „niższej rasy”; degenerowali całe pokolenia przywleczonym z Europy syfilisem — nie lecząc chorych! — plantatorskim bogactwem z jednej strony (z tyłu), a misjonarskim kazaniem o miłości bliźniego z drugiej zastępowali wszelką inną edukację — wszystko dla zyskania niewolniczej siły roboczej i złodziejskich, lichwiarskich dywidend.

Z tą myślą i tymi metodami zagrabiwszy trzy czwarte kuli ziemskiej, Anglosasi trwali w błogim przekonaniu, że tak będzie po wieki wieków i że Pan Bóg tak przykazał, i że inaczej wcale być nie może. Ale życie szło naprzód, historia nie drzemata, nabrzmiewały procesy ekonomiczne i społeczne, wielka rewolucja radziecka otworzyła uciśnionym narodom oczy, a ostatnia wojna przyspieszyła dojrzewanie buntu. Zdrugotanie przez Armię Czerwoną faszystów, którego tron „ideologiczny” stanowił rasizm, pokazało dziesiątkom ludów, kto jest ich przyjacielem a kto wrogiem... Dużą rolę odegrała tu, moim zdaniem, bomba atomowa rzucona na Hiroszimę. Trzeba sobie zdać sprawę, jak głęboko wstrząsnęła ta nikczemna, bezcelowa, „eksperymentalna” zbrodnia sumieniem narodów azjatyckich. Cała walcząca Azja do brze pamięta i nigdy nie zapomni, że ta bomba padła nie na tokijskie city, dzielnicę banków i trustów, ale na hiroszimeńskie nędzarzy, dla zastraszenia — kogo? Japonii? Nie. To było już niepotrzebne. Dla zastraszenia kogoś zupełnie innego, kogo zresztą nie tak łatwo zastraszyć. Byłem wtedy w Toronto i w felietonie miejscowego reakcyjnego dziennika, już po rozgromieniu Japonii przez Armię Radziecką, przeczytałem taki dwuwiersz:

Whatever happens, we have got
The atom bomb, and they have not...

Czyli: cokolwiek się stanie, my posiadamy bombę atomową, a oni nie. Więc już wtedy, latem roku 1945, bomba atomowa przeznaczona była dla wiadomych „they”...

Zbyt stara, wielka i głęboka jest zresztą mądrość Azjatów, aby samym węchem nie wyczuli, co im chce dać amerykańskogeszefciarska szajka bankowa w zamian za samodzielną i możność rozwoju narodowego; wiedza oni dobrze, że pętaki cywilizacji (jak ich nazwać inaczej?) utożsamili pojęcie komfortu z pojęciem kultury — i oto cały sens „amerykańskiego sposobu życia”, cała filozofia przeciętnej mieszczańca i potworność przeciętnej prezydenta tego raj dla idiotów („Idiot's Paradise” — sami tę trafną definicję wymyślił), jakim są współczesne Stany Zjednoczone.

Wiek XX, powiedział ktoś w Ameryce, jest wiekiem XIX z lekkim amerykańskim akcentem. Już teraz wiemy, na czym ten lekki akcent polega: na ciężkich bombowcach mordujących koreańskie dzieci. Od zbrodni hiroszimeńskiej do zbrodni koreańskiej upłynęło pięć lat zaledwie, a cały świat, z Azją na czele, dobrze już poznał smak skondensowanego „amerykańskiego stulecia”...

Wojna Ameryki z Azją jest wojna... religijna. Zagrożone zostało najwyższe bóstwo — Money — i jego świątynie — złodziejskie pieniądze spełnili na mrocznej Wall Street. A że się ta wojna odbywa pod hasłem walki o „wolność”, „demokrację” itp. piękne, jeżeli realną treścią wypelnione,

idealy — to czegoż się dziwić. Nawet amerykańskiemu żołnierzowi, wychowanemu przez kapitalizm w fanatycznym kulcie dla dolarowej wszechmocy, nie można przecie powiedzieć: Go and fight — our money is in danger²⁾.

W jednym z tygodników nowojorskich widziałem w r. 1943 świetną i znamieną karykaturę: żołnierz amerykański budzi się rano w koszarach na swojej przycy, ziewa, przeciąga się słodko i z błogim uśmiechem na twarzy mówi: „Znowu dolar i sześćdziesiąt osiem centów”. Powie kto: żart. Oczywiście. Ale w każdym żarcie jest ziarenko prawdy. Żołnierz, który budząc się myśli przede wszystkim o tym, że mu nowy dzień służby w wojsku (w czasie wojny!) przyniesie nowego dolara i 68 centów — to zjawisko bardzo interesujące. Prezydent Truman, budząc się rano na swojej „prycy”, przeciąga się teraz może nie tak słodko, uśmiecha się nie tak błogo (ma powody), ale ostatecznie myśli o tym samym przez miliardy pomnożonym: o pieniądzach — nie własnych, broń Boże, ale o pieniądzach, które mogą zarobić lub stracić dyktatorowie amerykańskiego społeczeństwa: banki, trusty, monopole, koncerny itp, zbojeckie kompanie, na nich bowiem opiera się ostatecznie rząd, sztab, dwupartyjny ale absolutnie jednolity — gdy o „money” chodzi — Kongres, taki sam Senat i sądy, i „maszynny wyborczy”, i prasa zaprzedała potężnym dawcom ogłoszeń, i radio w 100 proc. uzależnione od „publicity” (reklamy)...

W obliczu dokonujących się na całym naszym globie wiekopomyńskich przemian gospodarczych i politycznych, w obliczu tak potężnego zjawiska, jak pierwszy w dziejach noteżny zryw do samodzielnego bytu narodów kolonialnych, w huraganie — dziesiątków złotych, jutro — czarnych, pojutrze — wszystkich — w takiej godzinie nad godziną na trybunie amerykańskiego Kongresu staje prezydent i powiada, że ma dużo dolarów oraz bombę atomową...



Właściwością huraganów jest to, że zmieniają na swej drodze silniejszych przeciwników niż dolary... O tym zaś, aby bomba atomowa, uranowa, wodorowa czy jakaś inna mogła zapobiec huraganowi — nie nam dotychczas nie wiadomo. Kto wie, czy nie posiada ona wprost przeciwną moc: wymagania huraganu... Mały człowieczek, operujący wielkimi liczbami, pozostanie małym człowieczkiem. — „Make it trillion!” krzyknął ktoś ironicznie w Kongresie gdy Truman zwrócił się o 10 miliardów kredytów wojennych, tj. o kapitał potrzebny do dalszego mordowania koreańskich dzieci i własnych swoich, gumę żujących, w baseball grających, comics czytających, wesolych, prostych amerykańskich chłopców... Tragedia b. haberdaschera polega na tym, że nie posiada on ani za centa sense of history. Stąd taka a nie inna polityka Krwawego Domu zwanego do niedawna Białym Krwawego — bo ochlapanego krwią koreańskich maleństw i ich matek.

Jul'ian Tuwim

²⁾ Idź walczyć — nasze pieniądze są zagrożone.

Z grafiki radzieckiej

Kto życie swoje składa w ofierze w walce o wolność, ten nie umiera, lecz żyje wiecznie w pamięci ludu pracującego, imię jego staje się sztandarem bojowym, skupiającym wszystkich ludzi uczciwych, wszystkich, którym droga jest wolność człowieka i szczęście ludzkości.

Takim sztandarem bojowym jest dziś i przez pokolenia pozostanie imię towarzysza Julien Lahaut, wielkiego trybuna belgijskiego ludu pracującego, imię wielkiego żołnierza wolności, który całe swoje życie poświęcił dla szczęścia swego ludu, wskazując mu jak walczyć o pokój i socjalizm.

Z przemówienia sekretarza KC PZPR. tow. Edwarda Ochaba. na pogrzebie Juliana Lahaut.

STANISŁAW JERZY LEC

ROZMOWA Z ROZĄ THÄLMANN

Dnia 18 sierpnia minęła szósta rocznica zamordowania przez hitlerowców w Buchenwaldzie wodza rewolucyjnego proletariatu niemieckiego Ernsta Thälmana.

Nie mów, wiem wszystko,

o wdowo, po mojej nadziei.

Leży Berlir kamienną wyspą
na falach nocy. Lecz dnieje.

Pod cyklistówką twarz robotnika,
codzienna w tysiącnych twarzach.
Ale milion ust ją co dzień powtarzają,
ociosał w czerwonych okrzykach

Ty mówisz o nim Ernest,
ja mówię o nim: młodość moja.
Ale coś mówi przez nas —
nie głos mój, nie skarga Twoja.

Jeszcze oczyma wisiałem na kolczastych drutach,
ale przyszłość była nieśmiertelna.
Biła nawet w butach podkutych:
„Thälmann, Thälmann, Thälmann!”

Kiedy mnie wlokło twarzą po błocie
dwóch młodych, jasnych Wikingów,
słyszałem jeszcze w dalekim przelocie
pieśń o czerwonym Weddingu.

Widzą daleko i ostro

oczy przez uczuć bielma.

Tyle Ci chciałem powiedzieć po prostu,
Rozo Thälmann.

W. Prorokow

TO JEST AMERYKA



Tylko za to, że miał czarną skórę.



Pikieta strajkowa



Na swoją obronę może on przytoczyć jeden tylko argument: że i prezydent Stanów Zjednoczonych jest również płaski — i że pojęcia nie ma o „istocie rzeczy”.

Zaden to despekt dla p. prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, że był niegdyś t. zw. „haberdaszerem”¹⁾ tj. sprzedawcą szelek, podwiązek, spinek, kalessonów, i innych przedmiotów męskiej konfekcji. Żadna praca nie hańbi. Bywali i sklepikarze, którzy dobrze mieli w głowie. Ale gdy taki prezydent zachowuje sklepikarskie narowy myślowe i kramarskie metody w rozważaniu olbrzymich wydarzeń historycznych — to gorzej, to nawet niebezpieczne, przede wszystkim dla narodu, któremu przewodzi. Ten mały, zadowolony z siebie człowieczek stanął wobec kolosalnego zjawiska. Na widownię dziejów wtargnął huragan — kto wie, czy nie najpotężniejszy w historii: ludy największego kontynentu jeden za drugim zrywają się do walki o narodowe i społeczne wyzwolenie spod panowania mocarstw kolonialnych, rządzonych, niezależnie od formalnych, pozornych rządów, przez bankierskie spelunki. W setkach milionów ludzi, którzy byli dotychczas niewolnikami kapitału, zbudziła się polityczna świadomość, tamszona dotąd przez chciwych kolonizatorów. Spadkobiercy wspaniałych kultur orientalnych pragną samodzielnosci. Czytałem niedawno, że cała olbrzymia produkcja jakiegoś surowca (nie pamiętam jakiego) na jednej z wysp Oceanu Spokojnego, „obiekty” wartości milionów funtów szterlingów, znajduje się w ręku siedmiu Anglików. T. zw. tubylcy czyli krajowcy doszli do słusznego przekonania, że ten kauczuk, miód czy trzcina cukrowa należy właściwie do nich, a nie do

¹⁾ Ciekawe jest pochodzenie tego słowa. Wywodzi się ono od niemieckiego „Herbt Ihr das, Herr?” — pytania, z którym ludność zwracała się do wędrownych kramarzy, przeważnie Niemców.

SAMUEL FISZMAN

GŁOS PISARZA

Majakowski pisał kiedyś:

Ja chcę
człob k sztuki
prirawnli piero...

O powojennych artykułach Erenburga*) powiedział Kalinin: „Erenburg prowadzi z faszystami walkę wręcz. Wał na prawo i na lewo. Jest to zacieklej atak i Erenburg bije faszystów tym, co mu w danej chwili wpadnie do ręki — strzela z karabinu, a gaj zabrakne nabo, wałi koba, wałi po łbie, gdzie popadnie”.

W okopach pod Stalingradem, Kurskiem, Moskwą i Leningradem — bohaterowie „Burzy” wycinali z gazet artykuły Erenburga i przechowywali je razem z fotografiami i listami najbliższych. Fotografie były wytarłe, w listach od deszczu i potu rozlały się litery, a w słowach pisarza pikały matki, tęskniły żony, uśmiechały się dzieci.

Był w nich cały, potężny, niezwyciężony kraj, zniszczone freski starego Nowogrodu i zburzone śluby nowego Dnieprostroju, nadludzki wysiłek milionów i nadludzkie cierpienia milionów. Był w nich odblask spokojnych słów Stalina wypowiedzianych w najcięższych chwilach wojny: „Sprawa nasza jest słuszna, zwycięstwo będzie nasze”.

Gdy w wieczornych godzinach z głosników radiowych rozlegał się znany już wszystkim głos pisarza, ludzie radzieccy zatrzymywali się na nieoświetlonych ulicach miast, by usłyszeć o bohaterstwie synów i córek, braci i siostr, o walce świątecznej i krwawej, o chwilowych niepowodzeniach, o zwycięstwie które nadejdzie, o pokoju który będzie trwał.

Gdy bohater „Burzy”, Siergiej Wlachow, przypomina sobie w okopach pod Stalingradem ogladaną w Luwrze Nike Samotracką, zapytuje: „Dlaczego ludzie myśleli, że zwycięstwo lata. To nieprawda. Zwycięstwo ma nogi starte do krwi, pęza przez błoto i śnieg, wlaży do rowów. Jest porażenie, zmęczone, przemarznięte”.

Dziewiątego maja roku 1945 na Placu Czerwonym w Moskwie bohaterska, utrudzona Nike Stalingradzka w cichym uśmiechu skryła ślady tytanicznego wysiłku. Uroczysta i skromna była w tym dniu radość ludzi radzieckich. Zamgłona smutkiem trudnych przeżyć, promieniowała taką wiarą, taką serdeczną miłością do ludzi, że ten dzień zdawał się być wyśnionym od wieków dniem braterstwa i ostatecznego zwycięstwa dobra nad złem.

Gdy w cztery lata później, na Wszelkowskiej Konferencji Zwolenników Pokoju w Moskwie — dziekan katedry w Canterbury Johnson powiedział, że „mówić w Związku Radzieckim o pokoju to jest to samo, co jechać do Tulu ze swoim samowarem” — zapewne pamiętał o tym słonecznym dniu 9 maja, kiedy na Placu Czerwonym ścisłali mu ręce ogorzali żołnierze z frontu, uśmiechnięte dziewczęta i rozradowane dzieci, gdy lotnicy francuskiego Ruchu Oporu, oficerowie armii wyzwoleniczych narodów słowiańskich i staruszki z cichych zaułków Moskwy — wieszowały sobie zwycięstwa.

Ale w ten pierwszy powojenny poranek majowy na Placu Czerwonym znajdował się nie tylko przyjaciele Związku Radzieckiego, przyjaciele pokoju i pomysłowości narodów. Znajdowali się tam również generałowie zaprzyjaźnionych armii, którzy nazajutrz pisali książki o „Dziwnym sojuszu”, lub w przebranżu fotografowali fabryki radzieckie. Był tam również sprzedający dziennikarce, który korzystając ze swych uprawnień zajmował się szpiegostwem, jak siwowłosa i „czciogodna” pani Strong, byli śmieszni dyplomaci, którzy w walzkach usiłowali wywieźć potrzebnych sobie ludzi.

Długo oczekiwany pokój od pierwszej chwili wymagał obrony i od pierwszej chwili jego obrońcą stał się Związek Radziecki. „Dumą napawa nas świadomość — napisze później Erenburg — że w walce o pokój znajdujemy się na pierwszej linii jak w dnjach Stalingradu. Na nas patrzy. Nam wierzą. Ziją myślą o nas. Nakłada to na nas wielkie obowiązki — jest nam z tego trudniej, ale nie wmiernymy przecież na żadną łatwość tej trudności: czy wyprzedzać innych o godzinę, czy o stulecie”.

Wraz z milionami ludzi radzieckich Erenburg wziął na siebie odpowiedzialność i trudny ciężar troski o przyszłość pokoju. Na łamach dzienników i czasopism, jak niedawno w czasie trwających walk z najeźdźcą, ukazują się znów liczne artykuły Erenburga. Trudno jest zawyrokować, co z twórczości współczesnego pisarza wejdzie jako trwały wkład do skarbnicy myśli ludzkiej, a co przemienie i stanie się niezrozumiałe dla przyszłych pokoleń. Artykuły Erenburga, pisane w związku z aktualnymi wypadkami, na gorąco, zawierają takie bogactwo myśli, tyle śmiałych aż zaskakujących swoją świeżością sformułowań, z których wiele stało się już przysłowiami, tyle w nich spotykamy miłości i szacunku dla człowieka, dla osiągnięć ludzkich rąk i ludzkiego umysłu, tyle troski o przyszłość kultury — że zawsze będą one budzić uczucia szlachetne i zagrzewać do walki o zwycięstwo postępu, jak artykuły Mickiewicza z „Trybuny Ludów”, jak gorące odezwy i artykuły Gorkiego, jak plomienne wystąpienia Barbuse’a. Jak tamte, będą one ciekawe również ze względu na charakter dokumentu historycznego, artykuły Erenburga są bowiem najdokładniejszą chyba po wojnie kroniką różnych etapów, coraz bardziej się zaostrzającej walki obozu wojny z obozem pokoju.

Pierwszy artykuł, napisany w miesiąc po radosnym dniu zwycięstwa, jest pierwszym ostrzeżeniem o grożącym niebezpieczeństwie. „Rozmyślałem nad losem pokoju, ukończył on zaledwie miesiąc, któż wie, jak drogie jest nam to długo oczekiwane dziecko. Nie chcemy,

żeby je zaduszył niedbale njański”. W starym pałacu Parku Nieskucznego w Moskwie, gdzie mieści się prezydium Akademii Nauk ZSRR — zbierał się wówczas wspaniały areopag uczonych z całego świata, by uczcić 220 rocznicę istnienia Akademii. Dwieście dwudziestolecie może być i może nie być jubileuszem, ale Związek Radziecki zapraszając uczonych na zjazd chciał rozpocząć tę pierwszą wiosnę pokoju pod znakiem wspólnego wysiłku naukowców wszystkich narodów, zgodnie pracujących dla ludzkiego szczęścia. „Skńczyła się — powiedział wtedy prezydent Akademii Komarow — największa wojna, jaką znała ludzkość. Zaczęła się okres pokojowej twórczej pracy, w którym nauka powinna odegrać wybitną rolę... Nauka mijających wolność narodów wyrosła pod sztandarem demokracji i postępu”.

Ale w Zjeździe uczestniczyli nie tylko Joliot-Curie i nie wszyscy obecni zostali później werni szlachetnym apelem i uroczystym uchwałom zjazdu.

Erenburg pisze o pamięci:

„Pamięć jest wielkim darem. Bez ludzkiej pamięci łatwe i bezwartościowe byłoby życie. Lata rzpadłyby się na m'nuty, a człowiek nie znając ani wierności ani mądrości byłby złudnym życiem motyla... Nie jesteśmy zawzięci. Pamiętamy nakazy solidarności i człowieczeństwa. Niechaj się bawia na skwerach Berlina niemieckie dzieci. Ale pamiętamy o szturach Flensburgu, o przemysłowcach Ruhry, o panach ze stopniami naukowymi i listą zasług sje-paczy”.

Wielu było wtedy ludzi, dla których te ostrzeżenia pisarza zdawały się być przedwczesne, ale wkrótce po tym było przemówienie w Fultonie, i kozy w Bikini, i groźby generałów, i grożące wypowiedzi członków Kongresu.

Kiedyś „żandarm Europy” po słumieniu powstania dekabrystów powiedział: „Gdyby zaszła konieczność, wydałbym rozkaz aresztowania połowy narodu, aże-

do białej gorączki różne „głosy Ameryki” i opracane echa tych głosów w Star, m i Nowym Sw.ecie. Claude Morgan tak charakteryzuje przemówienie pisarza w Sztokholmie: „Nastąpił moment, gdy zdawało się, że wszyscy czegoś oczekują. I wtedy w przemówieniu Ilii Erenburga usłyszeliśmy potężny głos narodu radzieckiego, głos który rozwał zatrutą mgłę. Wystąpienie Erenburga było rzeczywiście szczytem tej tak bardzo doniosłej sesji. Jego przemówienie, jak zawsze obrazowe, zdawało się błyskać ostrzami stalowych mieczy. Każda część tego przemówienia kończyła się ironiczną uwagą. Jego subtelna ironia zawsze osiąga cel”.

Doprawdy nie można pozardzić różnym Lippmannom, Baruchom, profesorom, Montgomerym z Teksasu i generatom Bradleyem „broniącym zachodniej kultury” przed „wschodem”, gdy się dostaną pod lw: pazur ironii pisarza. Dr Montgomery otrzymał wtedy poradę, by w czasie odpoczynku przeczytał zyciorys dra Goebesa, ojeony pan Baruch porząsa bomoa atomową i wystraszony zagadka pod swoje łóżko, czy czasem nie ma tam jakiegoś „czerwonego”, a generał Bradley z największą uwagą słucha raportu naczelnego wodza sił zbrojnych Luxemburga.

Ale blysk stalowych mieczy często zastępuje lekki uśmiech ironii, grożące ludzkości niebezpieczeństwo dodaje słowom patosu, njezemne machinacje zbrodniczych szaleńców pracych do wojny wywołują święte oburzenie. I wtedy ręka pisarza z gniewem uderza w stół:

„Czas najwyższy położyć kres temu szaleństwu. Czas najwyższy powiedzieć — po prostu, po ludzku, z całym przekonaniem matki która ochrania swoje dzieci, czy ogrodnika który ochrania swoje drzewa — czas najwyższy powiedzieć spokojnie lecz groźnie: zatrzymajcie się. Nie uratujecie siebie n'szcząc świat. Jeżeli jednak ruszyte z miejsca, jeżeli ośmielcie się przejść od złych i rozpasanych przemówień do podłych czynów, sądzę was będą narody, wszystkie matki, wszyscy murarze, wszyscy czaeze, sądzicie będą strasznym sądem was — ślepaczy narodów. Mówimy wam: zastanówcie się. My czujemy. Nie odwracamy głowy. Patrzymy na was, siedzimy każdy wasz ruch, nie pozwolimy wam podnieść ręki, wytrącić w tej ręk. nóż. Dziel białą ros y. Jębiajcie będą rosły. My, ludzie całego świata, uroczystie objeujemy: obronimy pokój dla wszystkich, pokój dziecięcego śmiesu, pokój zboża i kwiatów”.

Za każdym razem, gdy czytamy lub słuchamy Erenburga, zadajemy sobie pytanie, gdzie leży źródło jego mocy, dlaczego odkładamy gazetę z jego artykułem, wychodzimy ze zjazdu lub wieczu, na którym przemawiał, głęboko przekonani i do głębi wzruszeni.

Erenburg jest wielkim pisarzem, doskonałym mówcą i świetnym publicystą, człowiekiem wielkiego rozumu i wielkiej wiedzy, ale całkowitą odpowiedzi na postawione wyżej pytanie znajdziemy dopiero wtedy, gdy dodamy, że jest trybunem swego narodu. Źródłem jego siły jest człowiek radziecki, który upoważnił pisarza, by mówił w jego imieniu. Źródłem jego siły jest umiłowanie tego człowieka, umiłowanie kultury swego narodu, a tym samym umiłowanie innych ludzi i kultury innych narodów. W mieszkaniu Erenburga przy ulicy Gorkiego w Moskwie, obok starych ikon rosyjskich możemy zobaczyć polskie świątki z Podhala. Obok malowanego na desce obrazów ludowego malarza na Mazina, rysunki Matisse’a. Obok Koncza.owskiego — autoportretu Picassa. Obok ceramiki spod Riazana — tkani- nę Gałkowskich. Obok pierwszych wydań Gogola — pierwsze wydanie Ronsarda. Ta serdeczna troska o losy „Trójcy” Rublowa a tym samym o losy „Madonny” C’mbue, „Słowa o pułku Igora” i „Pieśni o Rolandzie”, Placu Czerwonego i Piazza dei Popolo, Ermitażu i Luwu, to głębok e przucie odpowiedzi:ności pisarza za wszystkie książki napisane przed nami i za wszystkie książki, które napisane zostaną w przyszłości — sprawia, że artykuły i przemówienia Erenburga są w równej mierze zrozumiałe dla Fadz’ejewa i Fa- sta, Guttuso i Mendeza, tragarza z Marsylii i górnik z Zagłębia Donieckiego, walczącego żołnierza Chin Ludowych i strajkującego dokera Londynu.

„Właśnie dlatego — pisze Erenburg — że jesteśmy nowatorami, właśnie dlatego, że nasza radziecka kultura włączana jest wszystkimi wężami z rewolucją i wzrok ma zwrócony w przyszłość, cenimy wielką przeszłość ludzkości i swoją i obca. Święte glazy Europy są nie tylko w Rzymie, w Paryżu, Londynie i Pradze, ale także w Kijowie. Nowogrodzie i Moskwie. Przed wandalami, którzy planują trzecią wojnę światową, bronimy i nową, bardziej doskonałą formę społeczeństwa, i tysiącletnich relikwii ludzkości. Ludzie, którzy drogi jest Puszkini, umięją cenę i Hugo i Byrona”.

Ustami pisarza przemawia do nas bohater Stalingradu i bohater Uralu, tłumacz sonetów Szekspira, i matka, której syn poległ pod Warszawą. W artykułach Erenburga przekonywują nas narody Związku Radzieckiego, ich umiłowanie pokoju i umiłowanie twórczej pracy, ich patriotyzm i szacunek dla patriotyzmu innych narodów, ich gotowość do walki przeciw wojnie i gotowość do niesienia pomocy innym w tej walce, ich wielkość i bohaterstwo zrodzone w budownictwie nowego ustroju.

Miłośnicy sztuki utrzymują, że obrazy i rzeźby stają się piękniejsze od zachwytu ludzi. Jakżeby wypiękniły w pastych zazwyczaj salach Watykanu czy willi Borghese marmury antyku i płótna renesansów, gdyby je stale mogły oglądać tak liczne rzesze widzów, jakie codziennie zapelniają sale Ermitażu czy muzeum im. Puszkina. Jakżeby się ucieszyli starzy bukinieści z nad Sekwany, gdyby nagle znaleźli tylu znawców starych druków i po-

OD CHWILI GDY MNIE UWIEŻIONO

Dziesięć razy obróciła się ziemia
wokół słońca
od chwili gdy mnie wrzucono
do więzienia.

Pytacie, co myśli ziemia:
„To nie ważne,
to tylko chwila”.

Pytacie mnie o zdanie
„Dziesięć lat życia mi zabrano”.

Kiedy wprowadzono mnie do celi
miałem ołówek nietknięty,

Pisałem, nim pisałem
i zużył się w ciągu tygodnia.

Spytacie, co myślę ołówek
„całe życie”
odpowie.

Spytacie mnie o zdanie
„coż, tylko tydzień”
odpowiem.

Osman, wielki Osman
skazany za mord
Przeżył osiem lat w więzieniu
A potem więzienie opuścił.

Spotkał znów swoją bandę
i w jakiś czas później
za kontrabandę
do więzienia powrócił.

Ma przed sobą jeszcze sześć miesięcy
Ale na wolności pojął żonę
I na wiosnę
oczekuje
dziecięcia.

Dzieci, które opuściły matek łono
Wtedy, gdy mnie do więzienia rzucono
Mają teraz dziesięć lat.

A żrebaki
smukłe, drzące, o cienkich nóżkach
stały się oddawna
dorosłymi rumakami.

Tylko pędy oliwnych drzew
pozostały młode i zielone...
Od chwili gdy wtrącono mnie do więzienia
tyle nowych placów
ozdobiło moje dalekie miasto

Moi współmieszkańcy przenieśli się
na ulicę, której nie znam
do domu, którego nie widziałem.

Wtedy, kiedy mnie do więzienia wrzucono
pełno było białego chleba
miękkiego jak puch bawełny.

Dzisiaj tylko na kartki chleb sprzedają.
U nas w celi zabijają się ludzie o kawałek
chleba

Nie większy od pięści.
Na wolności można jeszcze kupić chleb
Chleb czarny i niesmaczny.
Wtedy, kiedy mnie do więzienia wrzucono
Świat jeszcze nie zapłonął,
W Dachau nie dymili krematoria,
Nie wybuchła atomowa bomba
w Hiroszimie.

Upłynęło wiele czasu,
Płynął czas, jak
Z poderżniętego gardła dziecka krew płynęła.

Oficjalnie zamknięty już ten rozdział, ale
Trzecią wojnę przygotować chce na jutro
Amerykański dolar.

Na skraju ciemności
Oparli ręce zbrodniarze,
Ciężkie ręce o bruk naszej drogi,
Chcąc powstać.

Dziesięć razy obróciła się ziemia
wokół słońca
od chwili gdy mnie uwieziono.

I wciąż z tą samą pasją powtarzam to,
Co mówiłem gdy mnie wieziono
Tym

którzy są tak liczni
jak mrówki w ziemi,
ryby w wodzie,

ptaki w powietrzu,
Tym, którzy byli tak tchórzliwi tak odważni
tak ciemni i dziecinni,

Tym, których dziełem jest wszystko
nawet bluznierstwa,

Tym, których imiona spotkasz
w każdej piosence.

Tym, których wszystko poza tym
Jak na przykład dziesięć lat mojej ziemi
Nie grzeje ani ziębi.

Spolszczyła Ewa Fiszer



Rys. Marek Rudnicki
Ilija Erenburg

by reszta nie mogła się zarazić”. Hercen nazwał te lata „strefą pomoru”. Coż by powiedział szlachetny Hercen, gdyby usłyszał słowa obecnego „żandarma świata”, „Jeśli zajdzie konieczność... bez wahania raz jeszcze zdecyduje się użyć bomby atomowej”. Pan Truman gotów jest nie tylko uwazić, ale wprost wymordować połowę ludzkości, aby druga połowa padła wystraszona na kolana przed bożkiem Dolarem.

Zdawało się, że monstrualne współistnienie barbarzyństwa i świata kultury, na które z przerażeniem patrzeliśmy w latach wojny, znikło na zawsze jak kosmar wraz ze zwycięstwem nad faszystami. Ale dość szybko znaleźli się dziedzice hanielnej schedy. Znaleźli się „uczeni” jak pan Oppenhejm, którzy przechwalali się, że za naciśnięciem guzika mogą w ciągu dwudziestu czterech godzin unicestwić 70 milionów ludzi, znaleźli się wojskowi specjaliści, którzy opisywali, co stanie się z Paryżem i Moskwą po zrzuconiu bomby atomowej. W New Yorku aresztowano Irenę Joliot-Curie, do więzienia wtrącono Howarda Fastrę, wykład teorii Darwina stał się przestępstwem, a przestępstwo dokonane na narodzie koreańskim ogłoszono jako obronę atlantyckiej kultury.

W tym samym czasie w Związku Radzieckim uczeni i robotnicy, mieszkańcy wielkich miast i oddalonych wsi brali żywy udział w dyskusjach na tematy z dziedziny filozofii i muzyki, literatury i biologii. Akademia Nauk uroczysto obchodziła dwutyścizną rocznicę śmierci filozofa i poety Lukrecjusza, ażeby przypomnieć ludzkości „nieśmiertelnego życia godne, złote słowa” jego słynnego poematu. W tym samym czasie w Związku Radzieckim sadzono lasy przeciw suszy, a Stalin pisał o podstawach językoznawstwa.

Erenburg w swoich świętych artykułach i plomienich przemówieniach przeciwstawia te dwa światy, z których jeden wydał — z góry skazaną na klęskę — walkę pokojowi światu, narodom światu i przyszłości, która jest przyjacielem narodów. Jego artykuł napisany w związku z antyradzieckim wystąpieniem Barucha — chciałoby się zacytować w całości. Jego przemówienia na Świątym Kongresie Pokoju w Paryżu należałyby wyczyć się na pamięć, jego noworożny artykuł „Pół wieku” byłby doskonałym wstępem do podręczników historii XX stulecia, jego list otwarty do pisarzy Zachodu trzeba by rozplakatować na rogach ulic.

Wypowiedzi Erenburga, tłumaczone natchniami na wiele języków świata, zawsze trafiają w sedno najbardziej aktualnych zagadnień i zawsze doprowadzają

zółkłych sztychów w księgarniach Moskwy i Leningradu. To w Moskwie w ciągu kilku godzin rozkupowane są tomy Szekspira i Balzaca, Stendhala i Goethego, Puszkina i Majakowskiego, Mickiewicza i Orzeszkowej, Prusa, Tuwima i Iwaszkiewicza, wielkie tomy nowej encyklopedii i male książeczki liryki starej Hellady. To w Moskwie twórcy kultury otoczeni są największym szacunkiem i powszechnym uwielbieniem.

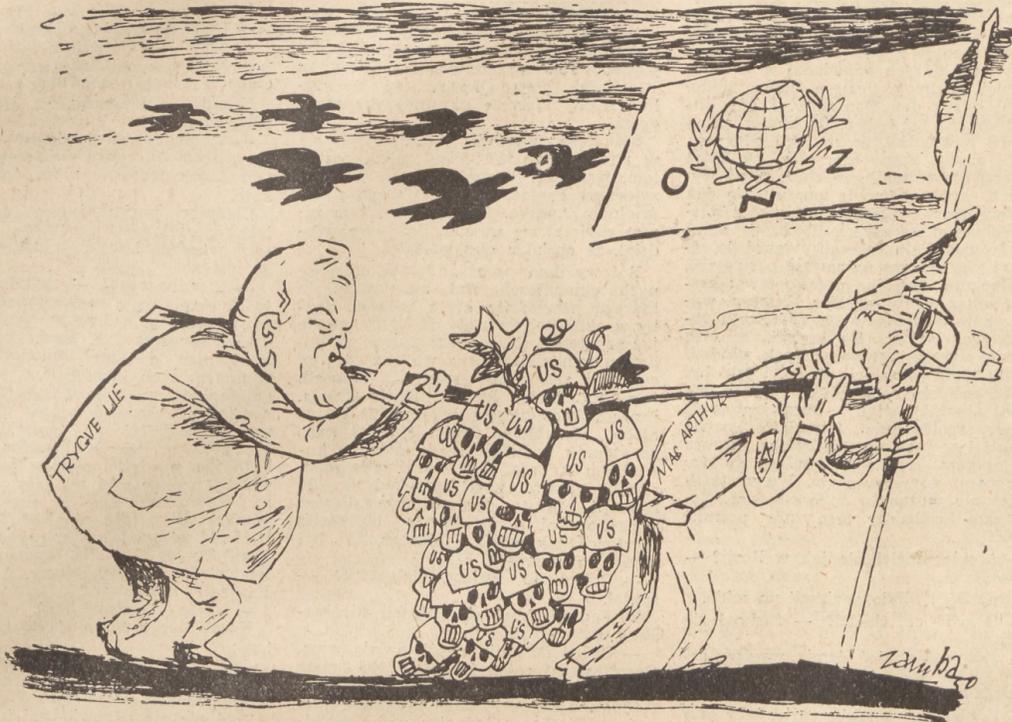
Robotnicy i chłopci, słynni uczeni i znani pisarze, wielcy graficy, rzeźbiarze i malarze, znakomici aktorzy i muzycy, wielo-

milionowe tomy bibliotek i wielomilionowe rzesze uczącej się młodzieży, cały wielki naród zajęty pokojową pracą — oto źródło natchnienia i źródło mocy wystąpienia Erenburga w obronie pokoju świata. To oni podktywali Erenburgowi proste słowa, którym zakończył swoje przemówienie na Kongresie Pokoju w Paryżu: „Ja, pisarz radziecki, przedstawiciel narodu, na który mlotają oszczerstwa wrogowie nasi i wasi, wrogowie ludzkości — kończę tymi słowami, które leżą na sercu każdemu: pokój światu”.

Samuel Fiszman

*) Ilija Erenburg: Cośś pisatjeła, Biblioteka „Ogoniok”, Moskwa 1950
Ilija Erenburg: Za mir. Sowietjskij pisatiel, Moskwa 1950

P O L S K A S A T Y R A W W A L C E O P O K Ó J



Plon niesiemy, plon...

rys. Jerzy Zaruba



Chory z urojenia

rys. Jerzy Zaruba



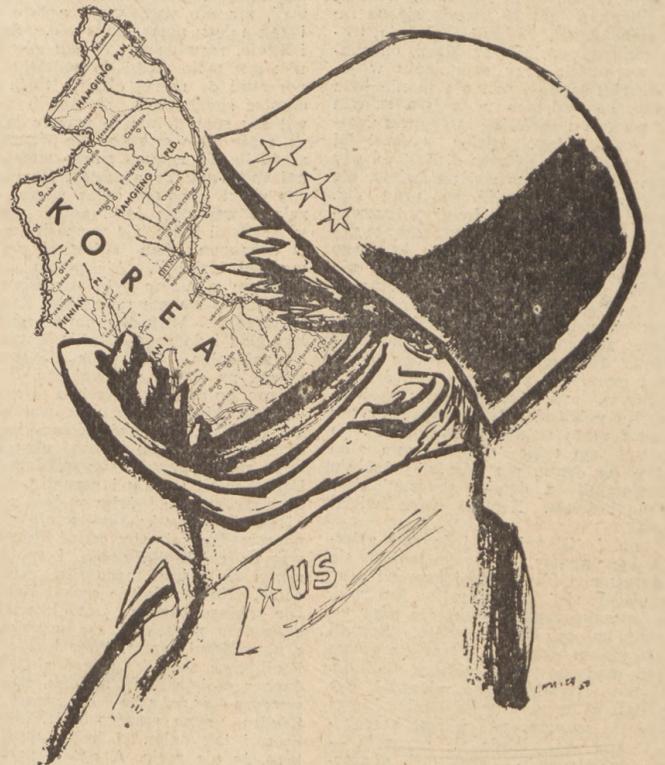
Pójdźcie, o dzieci, pójdźcie wszystkie razem

rys. Ignacy Witz



Płotka kawiarniana

rys. Henryk Grunwald



Kością w gardle

rys. Jan Lenica

Gianni wracał już do Crotone, gdy Totó go spytał, czy nie mógłby znaleźć dlań w mieście jakiej roboty. Gianni pokręcił w odpowiedzi głową.

W pierwszym dniu Bożego Narodzenia starszy brat serdecznie przywitał się z Salvatore. Ale po kilku odpowiedziach Gianni stał się naprzód ostrożny, a potem sztywny. Kiedy przyjechał na Nowy Rok, nie dyskutował już z nim. Salvatore zrozumiał, że Armando i Silvio byli już u niego w Crotone i już go uprzedzili.

Gianni nigdy wprawdzie nie był łagodny, po ojcu wziął skrytość i upór, ale po wojnie znacznie się zmienił na gorsze. Bardziej utykał na lewą nogę. Złamał ją, kiedy jeszcze pracował na żwirowisku. Dlatego też na szczęście nie wzięli go do wojska. A gdy wybuchła wojna, zabrakło w Montecatini robotników. Fabryka nawozów sztucznych wybrała już wtenczas dynamit. Gianni od razu otrzymał pracę w Montecatini i z wyjątkiem okresu od wyładowania Amerykanów na Sycylii a potem w Kalabrii aż do upadku Mussoliniego nie zaznał bezrobocia. Po wyzwoleniu fabryka ruszyła siłami samych robotników. Z dyrekcji nikt w Crotone nie został. Potem zaczęli powoli wracać na swe dawne stanowiska.

Gianni zmienił się na gorsze. Stał się szorstki. Matka i Maria chodziły koło niego na palcach. Od czasu do czasu dawał coś do domu. A święta urządzało za jego pieniądze. Wiedziały obie, że przyjeżdżał do Rocca di Zolfo nie dla święta. Szacunek dla Gianniego był jedyną nową rzeczą, jaką Salvatore zastał w domu. Ale nie wiedział, jak dalece jest to szczerze, zwłaszcza jeśli szło o Marię, która powtarzała jak zaklęcie, że złość by przesłała Gianniemu, gdyby się ożenił, ale nie z Angeliną. Wiedzieli, że miał się do Angeliny. Ale bogaty Filippello przysięgał nie oddawać swej córki komuniście, i to krzyżem. Gdy to Maria opowiadała, mierzyla skrycie spod rzęsy postać młodszego brata. Co sobie Angelina wiozła na targ do Crotone

gazecie z Sydney jako o bolszewickim buncie. A Armando i Silvio mówią o tym tak spokojnie:

— Obszarnicy siedzieli cicho, bo policja nie była jeszcze taka silna. Wtedy właśnie w czterdziestym szóstym powstała spółdzielnia. Najemnicy i gospodarze, nie było różnicy, zabierali ziemię barona Berlingieri i markiza Massary. Filippello zajął dla swych owiec pastwiska blisko Fragalá, Abruzzese przyciągnął do swej winnicy kawałek ziemi ciągnący się aż nad rzekę Neto. Brali ziemię Alessio Greco, Ferrari. Brali też najemnicy. Brano już nie jak po tamtej wojnie tomatami ale hektarami. Ale potem wyszło, że i tego za mało. Zakładano więc spółdzielnię. Dziś wiadano by, jak i co należy robić. Ale wtedy kto mógł wiedzieć? Nawet s i n d a c o Abruzzese, choć był komunistą i został wybrany jeszcze w czterdziestym piątym, rozkładał ręce. Te hektary spadły na niego tak nagle, że nie mógł dać rady. Oczy latały mu nieprzytomnie. Kogo tu słuchać? Jedni mówili: pracujmy wszyscy razem a plony podzielimy po równi. Inni mówili: lepiej podzielić ziemię między członków spółdzielni, a ze zbiorów pewną część wpłacać do wspólnej kasy na zakup mułów, na zrobienie kanałów, na wodę od rzeki Neto, przynajmniej dla tych pól, które są niżej położone. Zresztą, czego trzeba takiej spółdzielni, jeszcze nie wiadomo. To się okaże. S i n d a c o Abruzzese był za podziałem. Jego pola leżały nad rzeką. A więc podział. Niech będzie podział. Dobrze. — Armando zrobił ruch, jakby sobie umywał ręce. — Wtedy znowu zaczęło się: jak dzielić? Mniej niż tomaty nie opłaca się. Wtedy jedni mówili, tak mówił też Gianni, że jest tylko jeden sposób: zabrać jeszcze ze sto hektarów. Czy mało naokoło leży ziemi poniewieranej jak przez Saracenów? Ale inni, jak Filippello, mówili, że Berlingieri to jeszcze nie jest zdechły lew. I nie wolno go za dużo drażnić, bo jak się rozłości i z powrotem wszystko odbierze? Tak mówił nie tylko Filippello, ale Greco a nawet s i n d a c o Abruzzese. Dobrze, więc jak robić? Bo jak dzielić to co jest, to sprawiedliwie. Najważniejsza to właśnie

JULIAN STRYJKOWSKI

W

jak na pastwiska krowy, woły, owce, nawet muły i osły. Rosario, syn wdowy Anny, trzy razy tak zasiewał i trzy razy bydo barona niszczyło jego prace. Wreszcie musiał się poddać. Kto pamięta takie zaprzęszczone ugory jak Santa Rossa albo Praticello albo Fragalá? Oczyszczono je z giazów pamiętających czasy, o których opowiadał w kościele dawniej, zanim go jeszcze ekskomunikowano, ksiądz don Domenico. I gdy pustynia mogła już rodzic, Berlingieri przyszedł i powiedział, że to jego własność. I dziś znowu rosną tam osy, na które nawet owce splunąć nie chcą. A po wyborach, kiedy panowie poczuli się już całkiem mocni, przysłała najgorsza plaga Południa: adwokaci. Tych, co należeli do spółdzielni, zaczęli ciągnąć do sądów, ażeby ich raz na zawsze odstraszyć. Przylepiano im różne przestępstwa: kradzież soli z dołów markiza Massary, wyrębianie dąbcazków w rezerwatu łowieckiego barona Berlingieri, a ojca Alessia, starego Antonia, na rok wsadzili do więzienia za zabicie dzika. I taki był koniec spółdzielni. A gdyby robiono jak mówił Gianni, gdyby uprawiano pola razem, spółdzielnia istniałaby jeszcze do dziś i w jakiś sposób byłaby pomocą najemnikom. Ludzie trzymaliby się ziemi zębami wszyscy razem. I wszystkich razem nie można by było oderwać. Nawet sam Scelba by tego nie potrafił zrobić.

— A więc chcieliście jak w Rosji? — spytał Totó.

Armando i Silvio spojrzeli po sobie.

— O co ci chodzi? — zachnął się Silvio.

— Jak można mieć ziemię, wszyscy razem? To tak jakby mieć wspólną żonę — powiedział Salvatore.

— Lepiej jest w takim razie, żeby całą ziemię miał jeden, Berlingieri? — spytał Armando.

— Najlepiej by było jak w Australii a nie jak w Rosji — uśmiechnął się Totó.

— Salvatore — Silvio wzruszył ramionami — widzę, że się boisz. Czego ty się właściwie boisz? Nie jesteś ani Berlingieri ani nawet Filippello.

— Widziałeś kawał świata, Salvatore — powiedział Armando — czy gdzieś jest tak jak u nas tutaj?

— Nigdzie.

— A więc dlaczego mamy zostawiać wszystko po dawnemu? Jak Guilo był ministrem, zaczęły się dla nas zmiany, i gdyby został dotychczas, nie byłoby ani najemników ani bezrobotnych. — Armando powiódł suchą dłonią po twarzym zarosie — Taak. Nie wszyscy rodzą się od razu mądrzy. Ja też nie byłem od razu komunistą. Pierwszy powiedział mi twój brat Gianni, że jak się chce coś mieć, to trzeba walczyć. Jak wróciłem w czterdziestym czwartym w Grecji, chodzilem po Rocca di Zolfo jak głupi. Miejsca nie mogłem sobie znaleźć. Taak.

Salvatore zrozumiał więc, po co przyszłi.

— Mnie dajcie spokój — uśmiechnął się — ledwo co przyjechałem. Nie chcę być komunistą. — A po chwili spytał: — Ilu was jest?

Armando zmruczył oczy:

— Nie bój się, Salvatore, jest nas nie mała. Prezzo nazywa Rocca di Zolfo przeklętym gniazdem bolszewickim.

Do izby weszła Maria z krzykiem. Zginęła jej kura, która kulała od dwóch dni. Na pewno ją chłopcy złapali i upiekli w polu. Totó nic nie odpowiedział. Armando i Silvio wstali i pożegnali się.

II

Prezzo to był m a r e s c i a l l o karabinierów. Totó spotykał go często, kiedy wracał z placu ku nazwanego po wojnie Placem Wolności. Zbierał się tutaj najemnicy i poganiacze mułów, których brano do przewózki pszenicy do młyna w Strongoli lub do miasta na sprzedaż. Czekali na pracę. Siadali na kamiennym wale ciągnącym się aż do Bramy Saracenijskiej. Przez całą długość walu czerniły się jeszcze napisy, którego nie mogli zniszczyć nawet deszcze: „Jeśli chcesz ziemi, głosuj G a r i b a l d i” — i drugi: „Dla twych dzieci głosuj G a r i b a l d i”.

Najemnicy siedzieli godzinami. Conchetto, drobny chłopak o pierzchliwych oczach, czytał im na głos „Unita”. Nie czuli smrodu, który szedł od chlewów p o r c o p o l i.

— Czy ty nie czujesz, jak śmierdzi? — spytał Totó małego Mattea, męża Jolanty.

— Czemu nie czuję? Czuję — powiedział Matteo i dalej słuchał młodego Conchetta.

Próbowano wciągnąć Salvatorego do wspólnego czytania „Unita”. Totó odmówił.

— Dlaczego? — spytał go Rosario, syn Anny-wdowy.

Salvatore uśmiechnął się i milczał.

— Dlaczego nie chcesz nam pomóc? — powiedział łagodnie Vito, właściciel muła i sciaraball — przecież w wojsku nauczono cię czytać i pisać.

— Damy sobie radę bez niego — machnął krótką rączką Matteo.

Zostawili go więc w spokoju.

Wygrzany na słońcu wracał do domu, gdzie od południa gotował się bób. W izbie bez okien dym gryzł oczy. Maria od czasu do czasu dorzucała suche osiet trzaskające na wszystkie strony. Przepalony trójnog Totó pamiętał z tą samą warstwą sadzy od dzieciństwa. W takim stanie, zdaje się, przyniosła go matka do domu w posagu. W czarnej misie skwierczał w gestej żółtej cieczy bób. Dym szedł pod pułap, czepląc się porowatych kamiennych ścian, aż wychodził przez otwarte zawsze drzwi.

— Czy nie można gotować na dworze? — spytał Marię.

K

A

L

Siostra spojrzała na niego wzruszając ramionami. Odkąd żyje, dym był w izbie, a on chce go wyrzucić na dwór? Gdyby tak wszyscy chcieli zrobić, byłby koniec Rocca di Zolfo. Po ciasných uliczkach chodzili ocierając się o mury osy i świnię. Całe stada dzieci raczkowały i dreptały wszędzie a nikt ich nie doglądał. Tak wpadło dziecko Giovanni do nory porcopoli. Co by było, gdyby jeszcze na ulicy rozpalano ogień!

Salvatore wyszedł i skierował się w stronę municipio, gdzie przedtem, wracając jeszcze z Placu Wolności zauważył Prezzo, rozmawiającego z księciem Andrea. Maresciallo i tym razem obejrzał się za nim. Salvatore wiedział, że chciał z nim pogadać.

Różowy dom municipia o zielonych okiennicach stał na placu, do którego prowadziły kręte schodki. Szyby w oknach były złote od chylącego się już na zachód słońca. Przylepiona do budynku municipia wąska wieża z dwiema cienkimi arkadami dzwonnicy rzucała cień na biały kościół Santa Chiara. Przez arkady zawsze było widać czyste niebo. Karabinier Prezzo siedział teraz na stopniu kościoła i rozmawiał z księciem Salvatore. Wstał i włożył ręce do kieszeni. Trusta, ciemna twarz Prezza z podkowami pod oczyma błyszczała w słońcu jak miedz. Maresciallo był młody mimo tuszy.

— Dokąd to idziesz, Salvatore? — spytał.

Totó uśmiechnął się. Zrobił nieokreślony ruch głową.

— Chodź do mnie, napijemy się wina. Opowiedz mi coś o świecie. Tyle świata widziałeś.

Ostatnie słowa Prezza zagłuszył bek owiec. Uliczka w jednej chwili napętniała się owczym podochodem. Zwierzęta zeskakiwały gestą falą ze schodków. Za nimi biegł dwunastoletni może chłopak,

wywijając w powietrzu batogiem. Pałuszek z twarzy przypominał Salvatore młodego sprzedawcę papierosów spod portyków. Dzieci powyrastały i Totó nie wiedział, dzieci które jest. Ale dzieci Rocca di Zolfo jego już znał.

— Ciao, Totó — krzyknął chłopak.

— Ciao — odpowiedział Totó.

— Z Prezzo się przyjaźnisz, Totó — chłopiec pokazał szczerbate zęby.

Karabinier poczerwieniał, ale uśmiechnął się:

— Ty podrutku przeklęty — pogroził mu palcem — czekaj, nie dam ci podrosnąć. A jak podrosniesz, to dopiero ci pokażę.

Chłopiec pogłaskał się pod brodę i beknął jak kozioł. Świsnął w powietrzu batogiem i znikł za kamienną arkadą uliczki.

— Nie znasz go? — spytał Prezzo — to Mincuccio, syn najmniejszego tujejszego komunisty Armando. Armando już na ciebie nastawiał sieci, prawda? — Karabinier podsunął furażerkę. — Nie rozumiem tych komunistów, swoją drogą. Nienawidzą bogatych, gardła by im podcięli a pracować u nich chcą. I nawet swoje dzieci do bogaczy posyłają. Mincuccio pracuje u Filippella. A gdyby Filippello nie było, gdzieby go Armando posyłał pracować? I tak jest z wszystkimi komunistami. Sami by chcieli być bogaczami. Więc jaka różnica? To już wolę, żeby pozostało po staremu. A twój brat? To też okaz. Na bogatą dziewczynę ma oko. Wysoko mierzy. A wiesz, co Filippello powiedział?

— Wiem — odparł Totó.

Karabinier z ukosa spojrzął na Salvatorego:

— I ty jesteś? No, a ty przecież nie jesteś ani komunistą ani krzywym. — Prezzo krótko się zaśmiał.

Totó nie odpowiedział i odtąd szli w milczeniu.

Maresciallo mieszkał w domku z podwórkiem. Osobno a nie w ściśniętej ulicz-

ANNA KAMIENSKA

NA KONGRES

Ci, którzy wyszli z wojennej pożogi,
Z pożarów, salw i bratnich mogił,
Ci, którzy choćby okiem spoza drutów,
Widzieli wojnę w huku pruskich butów,
Albo w tych oświecenijskich stosach,
Na których giszcie — drobnych butków nosok,
Ci nawet, którzy wtedy gryzli tylko piór,
Nie pragnąc wiedzieć, co tam kroczy poza chmurą
Zwycięskich pułków, ci, których nie otrul
Gorzki jad smutku, kiedy ludzki popiół
Użyźniał pola i wzrastały bujne
Liście błękitne i brukwie podwójne —
Będą świadczyli. I ten do obozu
Słany Mickiewicz w śrucie chleba. Więzień, który nożem
Krajał bochenek, był czujny i blady,
Gdy kładł na wargi razem chleb i „Dziady”.
I te na twarzy lzy, gdy rano
Wyjeżdżał konwój z Zamku. Zamykano
Wozy dokładnie i tylko przez wrota
Gdy wychodzili, widać było, jak tęsknota
I ból twarze rozorać może do dna duszy.
I że żołdaków krzyk prawdy nie zgłuszy.
I te pociągi w iskrach, które szły sufitem
Poprzez bezsenne noce — tak jak dynamitem
Ładowne śmiercią. Nagle się wylania
Twarz piękna jutro zmarłej, inna ją zastania,
Lecz tamta patrzy na wskroś, nie płacze — oskarża.
Fotografie. Te wszystkie, którym żółkną twarze,
Jeśli to twarze zmarłych. Lecz obraz utrwalił
I na świstku papieru z sarkazmem ocalił
Twarz wesołą poetki młodej i ramiona
Nagie, na których jeszcze nie wyschła skroplona
Woda, którą piersiami płynąc rozgarniała.
I tak ją na obrazku śmiejącą zastała
Śmierć faszystowska, co ma twarz donosiela.
Fotografie Rodziców wśród okazji wielu
Ocalone. Gdy myślał syn w szpitalu: „Nie wróce,
Tu po piaskach dalekich kości swe rozruczę” —
Umrzeć nie pozwalały. Dziś patrzą, jak rośnie
Wnuk, strzegą jego kroków pierwszych, aż urośnie,
Nauczy się, powtórzy, zrozumie drogę
Imiona tych, co bez mogił.
Będą świadczyły zryte od wybuchów
Wioski i żagleń liści chwiałące łopuchy
Na gruzach miasta. I głosik dziecka, które zapytane,
Skąd jest: — „Z walizki” — odpowiada. Szklane
Ma oczy ten, co nie zaplacie. Szklane
Ma serce, jak tamci zelanci,
Którym kalamarz kryje żeber pancierz,
Gdy piszą, że pamiętać o zbrodni jest zbrodnią.
Tak. Zapominać rzeczą modną i wygodną.
Lecz nie zapomni stary ten robotnik z Łodzi.
Ledwo wrócił z tułaczki, moczy nogi w wodzie
Spuchnięte, biegnie na fabrykę. Stoi buda, jakże.
Są towarzysze. Patrzą sobie w twarze
W halli maszyn, gdzie pusto, wiatr śniegiem zamiata.
Odbudują. Nie pyta nikt, kiedy wyplata.
Lecz nie zapomni górnik, repatriant francuski,
Jak Polskę ujrzał po latach, jak wózki
W sztolni śpiewały chórem Hymn i Marsylianke,
A z ścianą węgla serca kruszyły się ścianki.
Nie zapomni pierwszy dyrektor z robotnika,
Jak w Borucie stawiano piec. Przenikał
Juz wiązr zimny. Ledwo front się ruszył
I grzmiał dalej na zachód. Rano szron już prószył.
Chuchając na przymrozki, strojąc cegły co dnia
W snopki, budowano piec-chochol. Stanał w dwa tygodnie.
Piec i maszyny — to kapitalistyczna fabryka.
U nas dochodzi drobniarz; serce robotnika.
To, które nadsluchując, jak grzmi front wolności,
Pamięta każdą krzywdę i z gruzów podnosi



przedzie lub strzyżoną wełnę na sprzedaż. I wtedy Gianni się z nią widywał, naturalnie, że nie w mieszkaniu. Francesca, żona don Domenico Palmieri, byłego księdza Rocca di Zolfo, doniosła o tym Marii i matce Immacolacie, przysięgając, że sama ich widziała oboje w jasny dzień na placu końskim. Obie kobiety były bliskie rozpacz i błagały księdzową, żeby tego nigdzie nie powtarzała. Obawiały się zemsty Filippella. Ale Angelina jest gorącej krwi i do tego na nieszczęście nieostrożna, bo potem widzieli ją z Giannim inni. Skończyło się na razie nienajgorzej. Filippello zbił ją trochę; Chiara, przyjaciółka Marii, opowiadała wprawdzie przy strumieniu w jarze, że zbił ją do krwi, ale to nie była prawda, bo widziano ją w tym samym dniu zdrową i spokojną przy przepieraniu owczej wełny. Ojciec zakazał jej tylko wydaleć się z Rocca di Zolfo, a gdy Gianni przybywał do wsi na święta, nie wolno jej było wyjść za próg izby. A brat jej, ksiądz don Luigi, wyprowadził się z domu ojca do opuszczonego pałacyku wśród eukaliptusów, będącego własnością barona Berlingieri, aby nie mieszkać pod jednym dachem z Angeliną. Ale Francesca podawała inną przyczynę: na ustroju łatwiej było dziewczęciem zakradać się nocą do młodego księdza. Następnego niedzieli don Luigi znowu grzmiał z ambony, bardziej niż dotychczas, na komunistów-antychrystów. Na pobożnych takie kazanie z początku rzucało strach, bo każdy z nich albo był sam takim antychrystem albo miał go w domu, ale później jedni się przyzwyczaili a drudzy przestali chodzić do kościoła. Zwykle więc świecił pustka.

O tym, że Gianni jest jednym z głównych komunistów, Totó dowiedział się od Armando i Silvia. Obaj przyszli niby dowiedzieć się, co słychać w Australii, i co Totó ma zamiar zrobić, ale naprawdę inny był cel ich odwiedzin. Spytał go dla grzeczności o to i o tamto, a potem zaczęli sami opowiadać o Rocca di Zolfo. Totó nie wszystko jasno rozumiał. Nie wiedział, co to jest spółdzielnia, której zniknięcie spowodowało wzrost bezrobocia. Odkąd spółdzielnia się rozpadła — opowiadał Armando — zrobiło się aż czarno od niedzy. Powoli Salvatoreowi wyjaśniano się na tyle, że wiedział, o co idzie. O tym ruchu po wsiach w czterdziestym szóstym czytał mu fermer w angielskiej

*) Rozdział przygotowany do druku powieści „Bieg do Fragalá”.

A B R I I*)

Ilustrowała DANUTA KONWICKA

ce. Po obu stronach wejściowych drzwi wisiały blaszane wiadra z ziemią, w których rosły geranie. Były to jedyne zielone Rocca di Zolfo. Na progu trzyletnie może dziecko bawiło się z rudym kotem.

Zona karabiniera połą czarnej sukni wytarła stółek i Totó usiadł.

Druciana siatka na nieoszlonym oknie rzucała na kamienną podłogę drgający, jakby z morwy, cien złotawego nieba. Pod zadymionym okapem paliły się wiązki chrustu. Pachniał bób i oliwa. Trzy kamienne schodki prowadziły do zagłębienia, gdzie stało szerokie łóżko zarucone żółtą kapa.

Zona karabiniera położyła na stół pół białego chleba, nóż, postawiła fiolkę czerwonego wina. Potem podała kasztany ciepłe jeszcze z popiołu.

Prezzo zdjął marynarkę. Ze spodni przepasanych wąskim rzemieniem wyłaziła kremowa wojskowa koszula. Teraz dopiero ukazał się jego potężny brzuch wypinający się wysoko aż pod piersi.

Zabrali się do jedzenia. Prezzo nalewał czerwonego wina do fajansowych garnuszków. Potem zapalił papierosy.

— Robi się ciemno, trzeba mi już pójść — powiedział Totó.

— Rosalia, czy ten bób już jest gotowy? — zawołał karabinier. — Jak długo trzeba czekać?

Rosalia, zona marescialla, nie odwracając się od ogniska, mruknęła:

— Nie ma na co czekać. Tak prędko nie będzie gotowy. To zeszlóroczny diabeł, twardy jest jak kamień.

Za oknem szybko zmierzchało. Na niebo wyszły podłużne ogniste chmury, które na wieczór zastąpiły.

— Już pewno miałeś czas zobaczyć, co się u nas dzieje. To nie jest ten sam kraj, jaki zostawiłeś, kiedyś poszedł na wojnę — przerwał nagle Prezzo cisze. — Przeklęty kraj. Ja się tutaj duszę. Z jednej strony ta zawzawiona hołota, a z drugiej strony komuniści. Tutaj na-

wet ksiądz jest komunistą. Swojej służącej zrobił czterech bękartów. I jeszcze się chwalił tym z ambony, że się tego nie wypiera jak inni księża, co się do swych dzieci nie chcą przyznawać. A teraz wygaduje herezje za to, że go ekskomunikowano. Gdzie indziej ludzie ukamienowaliby takiego bezbożnika. A tutaj jeszcze wołają go do umierających. To jest możliwe tylko w Rocca di Zolfo! Zonaty ksiądz!

— Ma słusność — odezwała się Rosalia — ksiądz też jest człowiek.

— No widzisz — karabinier kiwnął głową w stronę ogniska — ksiądz też jest człowiek. Tylko karabinier nie jest człowiek. Nawet w domu nie mam z kim mówić.

— No — uśmiechnął się Totó — własna kobieta w domu, to zawsze...

— Tak, tak — westchnął maresciallo — zobaczysz, jak się ożenisz. Ty właściwie mógłbyś się dobrze ożenić. Skończyłaby ci się bieda. No nie, Lia? Trzeba go ożenić.

Rosalia nie odezwała się. Milczał również Salvatore. Spoglądał wciąż w stronę okna, jakby go stamtąd mógł ktoś wywołać.

Karabinier podchwytywał spojrzenia ludzkie.

— Dokąd ci się śpieszy? — spytał. — Siedź tutaj. Swego domu będziesz miał dosyć po dziurki nosa. Zjadłeś, to cię już nic więcej nie interesuje? Nie, bratku, posiedź. Posiedź jeszcze trochę, proszę cię. Pogadajmy sobie. Tak jak ludzie ze sobą gadają.

— O czym mam gadać? — spytał Totó.

— Wszystko jedno, tutaj przecież można zdechnąć.

W izbie zrobiło się już całkiem ciemno. Od ogniska padał na pułap i ściany zalamany krzaczasty cień Rosalii.

— Słuchaj, Salvatore — Totó poczuł na swym ramieniu dłoń karabiniera — proszę, jesteś tutaj jakby nowy. Proszę cię, jak cię zechcą wciągnąć do swej

przeklętej szajki, proszę cię, nie daj się. Będziesz przychodził do mnie. Po co masz się zajmować polityką? Ja też się nie zajmuję polityką. — Prezzo zamilkł na chwilę. Potem spokojnym głosem dodał: — ech, głupi, głupi. Gdybym ja był na twoim miejscu w Australii... — maresciallo w mroku pokazał białka oczu.

Za progiem rozległ się płacz dziecka. — Idź-no, zobacz, czemu Lorenzo płacze — powiedziała Rosalia — już czas go kłasić spać.

Prezzo zerwał się i wyszedł. Totó wstał i pojechał się.

Budził się w nocy od uwierającej go myśli, że tak już zostanie na zawsze. Wrócił sam do potrzasku. Kiedy rzucał się na barłóg, myślał ta wyprzedzała na wierzch jak oliwa. Lepsza była niewola w Australii. Brała go głucha i beznarna złość na samego siebie. Co teraz może zrobić? Zagryzął się. Poszedłby nawet na parobka do Filippella. Ale wobec Angeliny znaczący był też jeszcze o parę schodków niżej. Jakby wyglądał? Dzisiaj widział ją po raz pierwszy, od kiedy wrócił do Rocca di Zolfo. Podobała mu się. Jak długo Gianni pozostawał we wsi, przez dwa dni Bożego Narodzenia i przez dzień Nowego Roku, nie mogła się pokazać. Ojciec strzegł jej wpatliwego już dziewczynka. Taki wabliwy chód mają kobiety, które zaznały już mężczyzny. Była gibka i nosiła na głowie podłużną deskę, na której ułożone były dwa rządy świeżo wypieczonych bochenków chleba. Przez chwilę wydawało mu się, że mu się to tylko śniło. Ale przypomniawszy sobie jej czerwone pończochy i podłużne oczy wzgardliwie przymrużone. Uśmiechnęła się, kiedy go spostrzegła. Może chciała się zatrzymać. Zrozumiał, że ten uśmiech spotkał go jako brata Gianniego. Znał ją jako osiemnastoletnią dziewczynę. Nie zmieniła się prawie. Tyle, że teraz chodziła po wsi bardziej dumnie niż wtedy. Jak takiej dziewczynie, prostej jak trzcina, mógł się spodobać krzywy Gianni?

Wyciągnął głowę spod koca jak nurek dla zacierpnięcia powietrza. Łachy cuchnęły wilgocią. Było mu duszno.

Matka i Maria spały zmęczone całodzienną pracą, której pożytek można by zmieścić w napastrku. Leżały przykryte przez głowę. Tyle miały z życia. W nocy w izbie robiło się zimno. Od wypaczonych drzwi wiało chłodem.

Drewniane stojaki podtrzymujące deski skrzypny, kury pod barłogiem zagadkiły przez sen. Totó wstał z wspólnego legowiska, wciągnął szynel, wzięł buty i wyszedł na ulicę.

Od księżycy niebo było prawie bezgwiezdne i kobaltowe. Ścienne domki, za dnia szare, teraz białe jakby pomazane na święta wapnem. Totó odetchnął cichym, przejrzystym jak woda powietrzem. Siedział na progu. Rocca di Zolfo w księżycu zdawało się nie mieć końca. Wiesz przecięta skośnym cieniem uliczek, z wysypką gęsto zabudowanych garbów, przypominała arabski cmentarz bez krzyży. Portony i niezdarne arkady uliczne odbijały srebro księżycy.

Stary pies z obwisłym brzuchem i opuszczonym łbem przystanął i ze zdziwieniem przyglądał się Salvatore. Obwąchał mu spodnie i poszedł dalej. Pótnoc minęła niedawno. Co zrobić z tylu godzinami aż do świtu? Wszedłby gdziekolwiek, gdzieby się świeciło, żeby nie wracać do barłogu. U Lella, u którego kupował papierosy, też już było ciemno. A w lokalu sekcji komunistycznej, skąd do późna dochodziły dźwięki radia, było cicho. Coś trzeba wymyślić. Pójdzie do Crotone. Pójdzie aż do Neapolu. Będzie chodził od domu do domu, od sklepu do sklepu, od warsztatu do warsztatu. Może znajdzie zajęcie. Byłby jakie. Zgodził się na samo jedzenie i spanie. Będzie szukał, będzie prosił. Co umie? Wszystko, co trzeba. Za samo jedzenie i spanie... Za samo jedzenie i spanie...

Totó wzdrygnął się od zimna. Otrząsnął się i wrócił do izby. Skrzypnęły stojaki, pod barłogiem zagadkiły kury przez sen. Rzucał się na wieczne wilgotną poduszkę, ukrywając twarz w dioniach. Przez palce przeciekały mu ciepłe ły.

IV

Tak upływały dni i noce.

W połowie lutego spadł obfity wiosenny deszcz. Plac Wolności opustoszał. Najemnicy zaczęli chodzić do Crotone, gdzie odbywał się targ na ludzi potrzebnych do orki. Poszedł też Salvatore.

W takie dni Plac Pitagorasa był zapchanym jak kościół w święta. Przybywali najemnicy nie tylko z Rocca di Zolfo, ale z Strongoli, Rocca di Neta, Belvedere di Spineillo, Casabona, Zinga, a nawet aż z Isola Capo Rizutti i San Giovanni in Fiore. Ci, co mieli bliżej, wracali spać do domu, a ci, co mieszkali daleko, spędzali noc na placu. Niektórzy poprzynosili z sobą koce, którymi okrywali się, kładąc na ziemi.

Totó spał u brata. Gianni miał pokój w wspólnym baraku robotniczym po przeciwnej stronie „Szanghaju”, ale też nad morzem, tuż u wejścia do portu. Port w Crotone był zaplasczony, żeby zabierać ładunek z zakładów Montecatini, teraz omijały go z daleka. Nawet łodzi rybackich nie było widać. Wybrzeże umarło opustoszałe. Pozostała tylko latarnia morską na końcu mola, ostrzegająca czerwonym okiem, że tu ciągną się mielizny.

Przez otwarte okno wdzierał się ciepły słony wiatr. Każdy gwóźdź wbity w drewnianą ścianę był przczarty solą morską. Pierwszej nocy zerwał się sztorm i Salvatoreowi zdawało się, że konie pędzą po dachu.

Gianni wracał z roboty wieczorem. Przynosił chleb, morelową marmoladę,

parę pomarańcz, butelkę wina, a czasem nawet kawał żółtego sera.

Wchodząc, pytał:

— No, dziś też cię jeszcze nie kupiono? Stawiał wszystko na stole. Na ciemnym blacie barwne jedzenie pod światłem żarówki usuwało na chwilę smutek i budziło niemądre nadzieje.

— Gianni, jak myślisz, będą jakie zmiany? — Salvatore czekał chwilę a potem dodał: — Wiesz, jak tylko wróciliśmy do Rocca di Zolfo, byli u mnie Armando i Silvio. Nie wiem, dlaczego nie ma ich w Crotone. Może znaleźli gdzie indziej pracę. Jest maliński Matteo, Ennio, Vito. Dosyć jest ich tutaj z Crotone. Męcza się ludzie bardzo, głodują, czekają, może przecież znajdzie się jakiś właściciel lub dzierżawca. A ja bym poszedł gdzieś prosić roboty, ale nie wiem gdzie.

— Jak jałmużny? — pytał Gianni.

Salvatore zbladł. Farmer w Australii ścisnął mu rękę i mówił „dziękuję”. Pomyślał chwilę i powiedział:

— Wiesz, Gianni? Armando i Silvio opowiadali mi o tobie.

— A mnie o tobie — Gianni rozłożył „Unità”. — Jedź.

— Jutro chyba wrócę. Ludzie zaczynają już wracać. Nie ma na co czekać. Za dużo nas tutaj jest. A może u ciebie w Montecatini coś by się znalazło? Ile dadzą, wezmę.

— Tak? Weźmiesz? — Gianni nie podnosił głowy z nad gazety. — Uważaj, tu nie jest Australia.

— Pewno, że nie. Tam nikt nie zdycha z głodu.

— Co ty tam możesz wiedzieć. Całej Australii nie widziałeś. Głupiś.

— Gdybyś widział, jak tam ludzie żyją, gdybyś widział, jak ja tam żyję...

— To jest właśnie nieszczęście — Gianni dodał że złością — twoje nieszczęście. Takich jak ty głupców szukają na zdrajców i lamistrąjków. Takich jak ty idących samopas można za byle co kupić. Nie rozumiesz, że tam w Australii codziennie wyzyskiwano cię, boś nie był w związku.

— A co mi pomoże związek? Nie myśl, że ja jestem taki głupi. Ja wiem, że wszędzie szukają głupich, żeby ich oszukać. Czy w związku, czy poza związkiem. Właśnie dlatego nie chcę się dać nabrać. Ja tylko czekam. Bo oszukać może nawet gówniarz, który sprzedaje papierosy.

— Czekaj, czekaj, a tymczasem inni będą za ciebie pleców nastawiali. Czekasz, kto będzie silniejszy; oni czy my?

— Nie jestem ani „oni” ani „my”. Jestem „ja”.

Gianni podniósł głowę z nad gazety. Spojrzył na brata z zaciekawieniem:

— To ciebie w Australii nauczyli tak ładnie gadać? Gadasz jak inteligent a nie jak półanalfabeta. Przynajmniej rozumiesz, co to znaczy „oni” a co „my”.

— Oni to Rosja, a my to... reszta — Totó zastanowił się, uśmiechnął się przychylnie do Gianniego — a może odwrotnie...

Gianni roześmiał się:

— Pij, Totó — Gianni nalał mu wino — pij, głupiś.

— A ja mogę powiedzieć to samo o tobie. Jak się coś mówi, to trzeba powiedzieć, dlaczego.

— Musiałbym dużo powiedzieć. — Gianni złożył gazetę, zabierał się do spania.

— Nie musisz powiedzieć wszystkiego na raz. Może być trochę dziś, trochę jutro.

— No, to niech już będzie trochę jutro. Będziesz uświadomionym człowiekiem o jeden dzień później. — Gianni stanął tyłem do brata i ścisnął marynarkę. — Ah, tak, zapomniałem spytać, co porabia maresciallo Prezzo?

Totó gniótł w palcach kruszynkę chleba. Zacinął usta. Nagle przestał się bawić czarną już gałką.

— Wiesz, Gianni, mówiłem z Angeliną — odezwał się spokojnie.

Gianni odwrócił się, trzymając w ręku marynarkę.

— Jak chcesz, napisz list, a jej oddam, jak mi dowierzasz. A może mi nie dowierzasz. Mówisz ze mną nie jak z bratem ale jak z wrogiem. Gadaliśmy z nią o różnych rzeczach.

Gianni podciągnął się stając na palcach lewej krótszej nogi i tak trwał przez dłuższą chwilę, jakby nadsłuchiwał cichych głosów z ścianą.

— O tobie też mówiliśmy.

— Tak?

— Tak.

— Ze co? — Gianni rzucił marynarkę na łóżko.

— Właśnie, że ty jesteś głupi. Ze jesteś komunistą. A tak moglibyśmy się pobrać — mówiła mi Angelina.

Gianni utykając podskoczył do stołu. Był blady jak ściana.

— Kłamiesz — krzyknął.

— Salvatore uśmiechnął się:

— Jak będziesz krzyczał, to ani słowa ode mnie więcej nie usłyszysz.

— Kłamiesz! — powtórzył Gianni.

— Idziemy spać — Salvatore ziewnął. Potem wstał i też zdjął marynarkę.

V

Salvatore przebył w Crotone cały tydzień, ale już nie u brata. Przypomniał sobie opuszczoną szatnię plażową na „Szanghaju”, gdzie był zaprowadził go w pierwszym dniu jego powrotu sprzedawca papierosów, mały oszust spod portyków. Drzwi zastał otwarte i sypaną na wąskiej ławce. Nie zdradzał tego miejsca nikomu nawet Silvestrowi z Sila; chciał być sam.

Z każdym dniem ubywało nadziei i ludzi. Im kto był mniej wytrwały, tym szybciej wracał do swej wsi. Szczęśliwców, którzy przecież dostali pracę, można było policzyć na palcach. Administratorzy majątków ziemskich brali co silniejszych i dobrze wyglądających. Najgłodniejsi, najbrudniejsi i najbardziej niewyspani pozostawali najdłużej. W domu nielepiej ich czekało jedzenie i nocowanie niż na Placu Pitagorasa. Tutaj znosiło się cierpienie tylko własne; nie słychać było bezustannego płaczu głodnych dzieci, ani przekleństw i lamentowania żony. Już to było ulgą. Zostawali więc jak mogli najdłużej.

Byli brudni, zarośnięci aż po białka oczu. Ledwo trzymali się na nogach. Na słońcu opadały im powieki a oczy przymykały się od znudzenia. Nasuwali na czoło czarne wmięte kapelusze, rozpiinali czarne podarte płaszczki, czarne lantane marynarki i pokazywali słońcu swoje czarne chude piersi. Nie należeli do związku i chodzili za każdą zapłatę. Robotnicy idący rano do roboty przystawali, wszczynali rozmowy, kiwali głowami i pytali, czemu się nie organizują.

Spośród najemników z Rocca di Zolfo prócz Salvatore został tylko maliński Matteo, mąż Jolanty. I jemu — tak mówił — miano do zawdzięczenia chleb, jaki dziewczęta z miejscowej sekcji komunistycznej rozdzielają między najemników, z początku od czasu do czasu, a potem, gdy ich zostawało mniej, codziennie. Dziewczęta wysypywały żółty chleb na koc rozestany na ziemi. „Jesteście zafatany proletariacie wiejski, ale to nie wasza wina” — mówiły i odchodziły z pustym koszem.

Wtedy siadali na stopniach cokołu, na którym stał biust króla czy generała, i żuli chleb mieszanym z kukurydzą. Amadeo z San Giovanni in Fiore, najmłodszy najemnik o jasnej twarzy i płowych włosach takich jak nie ma w Kalabrii, przynosił z pobliskiej fontanny wodę. Popijał po kolei, cmokali i mówili: „dobra woda”. A Matteo dodawał: „i nic nie kosztuje”.

— Dobra woda... — powtórzył Gaetano Bonacasa. — Ale jak długo będziemy tak siedzieć w tej zaszraną Crotone? — Gaetano skrzywił się, drapiąc się pod koszulą między łopatkami.

— Aż nie przestana nam przynosić komunistycznego chleba. — Silvestro ziewnął głośniejsze niż zwykle. Leżał wyciągnięty na stopniu cokołu z podłożonymi pod głowę ramionami. — Ci komuniści myślą, że nas zlamają swoją propagandą.

Silvestro pochodził z Sila. Salvatore go lubił. On też nie był „ani wasz ani ich”.

— Jaką propagandę? — odwrócił się do Silvestra Matteo kurcząc swój gruby i długi nos.

— No, ten chleb — odparł spokojnie Silvestro.

— To właśnie nazywa się propagandą? — stary Filippo z Zinga skrobął się w szczeciastą brodę — no, to nieźle.

— Właśnie — roześmiał się płowy Amadeo — niech de Gasperi robi taką propagandę. Kto mu nie daje? U nas w San Giovanni in Fiore jest więcej chrześcijańskich demokratów niż komunistów i si i n d a c o też jest chrześcijański demokrat, prawda? — Amadeo wziął na świadka swego zielonookiego ziomka Angela, który skinał baranią głową. — A jak go trochę przycisnąć, to sam mówi, że de Gasperi nie jest prawdziwym chrześcijaninem.

— Ale za tym chlebem przychodzi propaganda — Silvestro splunął wysoko i trafił w marmurową twarz króla czy generała.

VI

Od czasu do czasu przychodzili robotnicy i prowadzili z najemnikami rozmowy. Tylko Silvestro i Salvatore odpowiadali robotnikom i zaczynała się dyskusja. „Związek, organizacja, partię robia ci, co chcą nami kierować” — wrzasał ramionami Silvestro. — To dla nas jeszcze jeden kamień na plecy. Po co to?”

Pod koniec tygodnia zjawiał się na Placu Pitagorasa Gianni. Zacerwienił się, kiedy ujrzał Salvatore: myślał, że wrócił do Rocca di Zolfo.

Najemnicy wstali ze stopnia cokołu i otoczyli go. Ludzie ludzili się jeszcze jakąś nadzieją. I Gianni ją podsycał, zamiast powiedzieć, że nie dla nich nie może zrobić i że nie po to zresztą tutaj przyszedł. Jacy ci ludzie są głupi! Silvestro miał rację. Ludzie siuchają tej komunistycznej propagandy. Dla takiej nędzy nawet słowa są jałmużną. Jak on gada?!

— Głupstwa! — zawołał nagle głośno Salvatore. — Jak to możliwe? Im więcej będzie nas w związku, tym prędzej dostaniemy pracę? Ty powiedz lepiej, jak nam dostać pracę, to ci wszystko inne przebaczą. Ty powiedz, co ja mam zrobić, żebyśmy dostali pracę już dziś, już teraz. Ja nie mogę czekać na związek. To byle dobre jest mówić o związku, bo masz pracę.

Czarne twarze najemników odwróciły się do Salvatore. Gianni zacinął wargi, i chwilę patrzył bez słowa na brata.

— Co? — odezwał się po chwili — dlaczego akuratnie ty? Dlaczego akurat ty jeden masz dostać pracę? A ten? a ten? a ci wszyscy? Oni nie potrzebują pracy? Są gorsi od ciebie? Nie, moi drodzy, tak do niczego nie dojdziemy. Tu nie idzie o jednego, tu idzie o wszystkich.

Silvestro leżał na stopniu cokołu i głośno plunął w powietrze.

— Totó — odezwał się opierając się na łokciach — ty go znasz?

Zamiast Salvatore odpowiedział Matteo:

— Nie widzisz, że to rodzeni bracia. Taki sam nos mają — następnie wspiął się na palcach i próbował zająrzeć Salvatore w oczy: — Słuchaj — kiwał palcem — z bratem możesz się kłócić w domu. A my tutaj nie chcemy się kłócić. Słusznie, dlaczego akurat ty masz dostać pracę. Wszyscy chcemy pracy. No nie?

— Ja się nie kłóczę — Totó lekko oddepchnął malińskiego Matteo. — Ale niech mi nikt nie pokazuje oliwek na kasztanie. Jak można gadać, że im więcej będzie najemników w związku, tym prędzej będzie można dostać pracę. Im mniej nas będzie, to tak, to rozumiem.

— Głupstwa gadasz — machnął przykrótką ręką Matteo. — Czyje wojsko jest większe, ten zwycięża. Ładny z ciebie żołnierz był, że nawet tego nie rozumiesz.

— Dzięki Bogu — roześmiał się młody Amadeo — inaczej Mussolini gotów był jeszcze wygrać wojnę.

— A może byoby lepiej? — ziewnął Silvestro głośno.

(Dokończenie na str. 8)

POKOJU

Dom krzywdy — dom dziś własny. Każda czcionka druku

Naszych gazet niech świadczy, gdy w każdej od huku

Bomb koreańskich głośno, gdy każda czerwona,

Jak krew zabitych komunistów. Ona

Niech świadczy. Nie wiem, jaką twarzą

Patrzeć w twarz memu dziecku, gdy o rzezi marzą

Na przeciwnej półkuli. Nie wiem, jakim słowem

Budzić je rano, gdy tam już gotowe

Plany są, by je zgładzić bombą lub trucizną

Bakcyli lub gazem. Kiedy nad Ojczyzną

Wstaje niebo pogodne i posępne razem

Przypomnieniem dalekim, jakim witać je wyrazem

I jak je na noc usypiać spokojem,

Gdy strzały nad Viet-Namem grają w sercu moim.

Niech naszych dzieci jasne i otwarte oczy

Świadczą przeciwko wojnie, i tej, co się toczy,

I tej, która być może, chociaż być nie może!

Teżknij do pól, z których sprzątnięte już zboże

Leży w wspólnych stodołach. Do zakątka lasu,

Gdzie wśród dębiny grusza od czasu do czasu

Zrzuca owoce w dlonie temu, kto, szczęśliwy,

Położył się u stóp jej. Teżknij do siwej

Pory, gdy konie idą poprzez rzeczne piargi

Zanurzać w chłodnej wodzie pęciny i wargi.

Do małego miasteczka teżknij, gdzie właśnie

Zjechało kinostudio. Wszyscy będą. Tylko zaśnio

W oknie staruszek winem jak satyr owity dokoła.

Teżknij do domu z gankiem, gdzie jest szkoła,

Gdzie mogłabym ja sama iść codziennie rano

Niosąc w jednym ręku jaskier, a wypracowania

Dzieci — w drugim. A one już mnie z dala wypatrzyły.

Namawiają się, biegną. Teżknij do tej milej

Pożółkłej karty księżki, na której gdzieś drzemią

W korze dębu i lipy Baucis i Filemon —

Wierni na wieki małżonkowie. I do tej,

Która mówi, jak pszczoły niosą miody złote

I jak w jesiennej porze w starej rzymskiej chacie

Zona siada do krosien śpiewem słodząc pracę,

Albo warzy moszcz winny. Garnek drży od wrzasku.

Teżknij do tych spraw ludzkich wszystkich od początku.

Renato Guttuso

ROMAN BRATNY



Sycylijscy chłopcy zajmują ziemię obszarniczą.

W KALABRII

(Dokończenie ze str. 7)

— Brawo — zawołał Gianni — podchodzą do leżącego na marmurowym stopniu pomnika. — Skąd wy jesteście, chyba nie z Kalabrii?

Silvestro nie podnosząc się spojrział na Gianniego kącikiem swych wąskich oczu.

— Dlaczego pan się pyta?

— Z ciekawości, akcent macie nie nasz.

Najemnicy skupili się wokoło Gianniego i Silvestra. Amadeo siadł na stopniu u węgłowa Silvestra. Matteo stanął obok Gianniego. Salvatore schylił głowę, zajęty wygrzebywanem z kieszeni resztek tytoniu. Od czasu do czasu rzucał społe lba spojrzenie na brata i na leżącego w słońcu Silvestra.

— Siadajcie, drodzy moi — powiedział Gianni — nóg szkoda, weźcie sobie przykład od tego — Gianni ściągnął usta, jakby się przez chwilę zastanawiał — od tego półfaszysty i półnajemnika. Jemu nawet dupy szkoda. A właściwie, jak wy się nazywacie? — zwrócił się do Silvestra. — Łatwiej będzie was nazywać po imieniu niż takim długim tytułem.

Matteo trzymał się dwoma palcami za nos, który mu dygotał ze śmiechu. I śmiejąc się odpowiedział zamiast Silvestra, podając jego imię i miejsce pochodzenia.

— Ah, Sila — powiedział Gianni, to niedaleko Cerignola, gdzie urodził się di

nec. Zażądali pracy czy ziemi i sobie poszli a na drugi dzień już nikogo nie ma, bo się rozeszli każdy do swego domu, i trzeba czekać, aż się kiedyś zjedzą znowu albo też nie zjedzą. Nie, trzeba być ciągle razem. Co innego robotnicy. Robotnicy pracują ciągle razem i można ich każdej chwili zebrać. A chłopcy dziś są razem a jutro szukaj wiatru w polu. A o tym właśnie prefektura dobrze wie. Prefektura wie, że jak najemnicy przyjdą raz i drugi raz i trzeci raz, to znaczy, że są zorganizowani, i że będą wciąż wracali i będzie ich za każdym razem więcej. A tego już prefekt się boi. To już jest groźne nie tylko dla prefekta w Cosenza, i dla prefekta w Regio Calabria, i dla prefekta w Neapolu, aż dochodzi do prefekta w Rzymie.

— A wtedy już przychodzą karabinierzy i od razu dają nam i pracę i ziemię, że aż się dymi.

— A może — Gianni zacisnął wargi — może będzie się aż dymilo, ale my im też napędzimy strachu.

— A niechby się nawet dymilo — odezwał się Matteo — niechby tylko potem dali ziemię. Trochę zbiją, to zawsze warto.

— Pewno, że warto — powiedział Silvestro — zbić to zbiją, ale gówna dają.

Gianni pokręcił głową:

— Nie o to chodzi, moi drodzy. Przecież tu u nas w czterdziestym szóstym

— Boi się — krzyknął — boi się! Obszarnik nie z dobrej woli ale ze strachu obniżył czynsz dzierżawcom...

— E, kiedy to było — przerwał mu Silvestro.

— No, niechby próbował tego nie dotrzymać. Ale nie śmie. Boi się. I nie z dobrej woli ale ze strachu musi się zgodzić na zatrudnienie takiej a takiej ilości najemników przez tyle a tyle dni w roku. I to tylko tych, których przysła związek. Bo w Emilii związek jest silny. I niechby kto z robotników osmielił się pójść za mniejszą opłatą niż ustalił związek...

— To znaczy, że wy też umiecie puszcząć dym? — skrzywił się w śmiechu Silvestro — To jaka mi różnica?

— Ale Gianni nie dał sobie przerwać:

— ... I tam nie ma tego, żeby najemnicy wychodzili na plac jak na targ i sprzedawali się za byle solda.

— Madonna — zawołał młody Amadeo — wszystko jest na Północy. A na Południu to nawet najemnicy są gorsi. Ja jestem z San Giovanni in Fiore. U nas nie idą wszyscy razem. Słowem, nie ma jedności. Tak na przykład stajenni, dlatego że pracują przez okrągły rok, bydło trzeba dać zjeść cały rok na ich szczęście, a więc dlatego, że pracują okrągły rok, nie chcą się do nas nigdy przyłączyć. Jak im mówimy, żeby razem z nami albo strajkowali albo coś innego, to mówią, że bydlę szłoda.

— Pewno że szkoda, co biedne bydło zawiniło? — powiedział stary Filippo. — Dlaczego biedne bydło ma zdychać? Trzeba mieć litość.

— Tak — rozłościł się Amadeo — to niech obszarnik ma litość na ludzi, żeby nie zdychali z głodu! To właśnie wina obszarnika, jak bydło zdycha. To obszarnik nie ma litości a nie stajenni!

— Ech, co wy wiecie! — machnął ręką Gino z Castelli al Mare. Miał on ściśnięte górne zęby i seplenik. Dlatego nigdy prawie się nie odzywał. — Co wy wiecie! — uderzył w ręce i zamilkł.

— No gadaj, gadaj — zachęcał go Gaetano z Bonacasa — jakie już zaczął.

Gino wytarł rękawem usta.

— Kto się tam lituje! U nas w Castelli al Mare to nawet cmentarza nie ma. Bo naokoło wszystko jest barona Barracco. Umarłych trzeba nosić piętnaście kilometrów aż do Isola Capo Rizzutti. Tylko jak jest droga. A jak deszcze są, to wychodzą na wierzch wszystkie mokradła. Wtedy z jednej strony jest morze błota i z drugiej strony jest prawdziwe morze. Jak kto umrze, to się go wrzuca do prawdziwego morza.

— Też mi — powiedział Silvestro — no to zrób związek umrzaków.

— O, ty, Silvestro, Silvestro — roześmiał się Gaetano — u nas w Casabona przydałby się taki związek. Nasz archiprete pięćset lirów każę sobie płacić od pogrzebu. Biedni będą się musieli obejść bez święconej ziemi.

— A naszą wieś San Marelo nazywają „ziemią umarłych“ — powiedział malaryczny Italo.

— Czy o tych wszystkich rzeczach wiesz tam w Rzymie? — spytał sepleniący Giro. — Idziesz czasem i myślisz: poproszę księdza, żeby list do Rzymu napisał.

— Pisz, pisz — zaśmiał się młody Amadeo — do papieża.

— Be, do papieża może nie, ale do Scelby — odezwał się Angelo, rumieniąc się aż po białka zielonych oczu.

— Albo do de Gasperiego — dodał Gianni.

— A, de Gasperi, de Gasperi — Matteo skurczył swój długi gruby nos i zaśpiewał:

Gdy de Gasperi jest na czele,
Zupy w garnku jest niewiele...

Najemnicy roześmieli się.

Julian Strykowski

W PIĄTĄ ROCZNICĘ HIROSZIMY

Puste wydrążone kostki w skrzydłach ptasich
nadają im lekkość
— ale skrzydła nie takich
potrzeba dzisiaj poetom.

Żaden ptak
nie wyleciał z pustki Hiroszimy —
ale my i z kieszonkowego kalendarza uwolnimy
wielkie ptactwo historycznych dat,
nasze majowe i lipcowe czyny.

W Hiroszimio w piątą rocznicę
stan oblężenia
— oblężenie wolności,
oblężenie sumienia
— wszystko widzę:
nas ponad oblężenia mur nawet gazeta przenosi.

„Wiec obrońców pokoju zakazany“
„Policja dokonała aresztowań“
— Wobec tak'ego komunikatu
poezja staje jak niemowa.

Nad ziemię ucisku i gwałtu,
nad gniewu i głodu morze
nieś, skrzydło proletariatu,
poezjo, co walczyć pomożesz!

Nad egzotyczne lądy,
nad wody mórz południowych
krzyk ponieś górą, że od nich
nasz ład nieoddzielony.

Ile razy
wróg świat podpalić usiłuje
— liże rany,
cofa się, lecz nie rezygnuje.

Kiedy z dalekiego lądu, z oddali,
głos podlegaczy dolatuje,
ja do przyjaciół na adres „socjalizm“
tych parę słów adresuję.

Nasze — socjalistycznych poetów — ręce,
ziemskie ręce z krwi i kości,
dźwigają w lada piosence
najdziwniejsze, najpiękniejsze czasy ludzkości.

Mocno biją w naszych kopalniach oskardy,
mechaniczne młoty
drążą coraz głębiej.
A poezja nasza pokazuje, że czarny,
wydobywany w czasie roboty
węgiel
jest dzisiaj barwy pokoju gołębiej.

W piątą rocznicę
zrzucenia atomowej bomby
ja o wydobyciu węgla piszę
— taka jest naszej poezji odpowiedź.

I do japońskich towarzyszy piszę jednocześnie,
bo „Moskwa“, to adres,
który prowadzi wszędzie
w pracy i walce naszej.

Z grafiki meksykańskiej



Ciężary zbrojeniowe spadają na barki ludu.



Obrońcy pokoju łączą swe siły



Vittorio. Piękny kraj. Są tam lasy, tartaki? I dużo prawdziwych robotników. Wyście tam gdzie pracowali w Sila?

Silvestro leżąc przełożył nogę na nogę i lekko nią bujał w powietrzu. Salvatore wyciągnął z kieszeni marynarki wojskową zapalniczkę i nachylając się potarł nią o podeszwę podartego buta Silvestra potem zapalił sypiącego się cienkiego papierosa. Silvestro otworzył oczy, przerażony trzaskiem zapalniczki. Najemnicy się roześmieli.

— No, dobra — powiedział Gianni, odwracając się od Silvestra — a więc co myślicie dalej robić?

— Siedzieć i czekać?

Najemnicy milczeli.

— Nie moi drodzy — powiedział Gianni. — Jak się chce coś mieć, to nie można czekać. Jak się coś chce mieć, to trzeba walczyć. A walczyć można, nie każdy z osobna, bo to nie jest żadna siła. Ale wszyscy razem.

— A potem pójdziemy pod prefekturę — ciągnął Silvestro tym samym tonem co Gianni — i prefekt się przestraszy i da nam wszystkim pracę.

— Brawo, Silvestro — Gianni kiwnął głową — a jak się nie przestraszy za pierwszym razem ani za drugim razem, to przestraszy się za trzecim razem. Bo to nie sposób przyjść, dajmy na to, raz pod prefekturę w Cosenza i na tym ko-

działy się już podobne rzeczy. My nie chcemy manny z nieba. Chcemy pracy, które są możliwe. Chcemy pracy i ziemi. Czy pracy nie ma? Czy ziemi nie ma? Jest. Mało ziemi leży odłogiem? Jak obszarnik sam nie chce uprawiać nędżnych odłogów, bo mówi, że mu się nie opłaca, ani nie chce ziemi dać innym, żeby ją uprawiali, to trzeba z nim inaczej pogadać. Na ziemi nie zależy ani obszarnikom ani Scelbie. Za to innym zależy. Po co rząd ma sprawadzać zboże aż z Ameryki, kiedy ziemi dosyć jest tutaj na miejscu. Najemnicy mieliby pracę, a ludzie dosyć taniego chleba. A tymczasem tysiące hektarów leży i nikt z tego nie ma nic. Czy to sprawiedliwość? A jak nie jest sprawiedliwość, to trzeba zmienić. A jak obszarnicy nie chcą zmienić, to nie trzeba ich pytać. Trzeba ich zmusić. Ich można policzyć na palcach jednej ręki, a robotników i chłopów jest dużo. Ale dużo, kiedy są razem. Na Północy w Emilii, najemnicy, małorolni, dzierżawcy prawie wszyscy są w związku. I tam też bezrobocie jest mniejsze niż u nas. Bo tam się obszarnicy boją.

Silvestro splunął wysoko ponad głowami siedzących:

— Boją się? Kogo? — spytał, podnosząc się na łokciach. — Nie. Minęły te czasy. Dziś obszarnik się nie boi. To nie czterdziesty szósty.

Gianni uderzył ręką o marmurowy stopień.

— Boją się? Kogo? — spytał, podnosząc się na łokciach. — Nie. Minęły te czasy. Dziś obszarnik się nie boi. To nie czterdziesty szósty.

Gianni uderzył ręką o marmurowy stopień.

— Boją się? Kogo? — spytał, podnosząc się na łokciach. — Nie. Minęły te czasy. Dziś obszarnik się nie boi. To nie czterdziesty szósty.

Gianni uderzył ręką o marmurowy stopień.

— Boją się? Kogo? — spytał, podnosząc się na łokciach. — Nie. Minęły te czasy. Dziś obszarnik się nie boi. To nie czterdziesty szósty.

Gianni uderzył ręką o marmurowy stopień.

MARIAN BRANDYS

Z cyklu: Zetempowcy z Nowej Huty

ODPOWIEDŹ

NOWA HUTA rośnie. Proste, twarde szlaki z asfaltu i z drogiej kostki coraz śmielej i głębiej drążą ospałe wsie podkrakowskie. Na głównych terenach budowy przez dzień i noc wala tętna motorów. Ogluszający warok ciągników i dudnienie pociągów towarowych nie milkną ani na chwilę. Przeraziłoby skrzący koparki wydzierają z wnętrza skamieniałych ugorów całe tony ziemi. Sapiące buldożery odpychają tę ziemię na boki, czyniąc miejsce dla nowych fundamentów.

Po lewej stronie szosy krzepnie kształt robotniczego miasta. Niemal z każdym tygodniem zwiększa się tu ilość wesołych białych domów o czerwonych dachówkach. Pod czerwonymi dachami coraz głośniej i pewniej pulsuje osiedle życia ludzkiego. Wieczorami zza niedźmińskich okien dobiega śmiech i płacz dzieci, a na wąskiej drodze przy bocznicę kolejowej spotykają się pierwsze grupki spacerowiczów.

Na wielokilometrowych przestrzeniach niezmordowany, coraz lepiej zharmonizowany wysiłek rąk i umysłów ludzkich przekształca oblicze ziemi i obala stary katechizm stosowanych dotychczas norm robotczych. W lokalach partyjnych i w biurach inżynierskich wre wyżęta praca mózgow. Na zebraniach aktywnych i na naradach wytwórczych rozpracowuje się szczegóły realizacji Wielkiego Planu. Od Partii do biur, po przecięzionych kablach telefonicznych biegną drobniagowe wytyczne. Każda z tych wytycznych usuwa jedno ziarnko piasku z trybów obrzyniejącej maszyny budowniczej. Budowa Nowej Huty nabiera sprawności i rozpędu. Jej zwycięski miarowy rytm czuwa się już nawet pod Sukiennicami, na historycznym Rynku Krakowskim.

Pewnego dnia — mniej więcej na godzinę przed ogłoszeniem fajrantu — do zetempowców z trzeciej drużyny, zatrudnionych na skrajnym odcinku budowy, przy stawianiu fundamentów pod kolejny blok młodzieżowy, podszedł jakiś podchmielony mężczyzna o wyglądzie sezonowego „lumpa”, pogroził im pięścią i wyszczał przez zęby:

— Rabatujcie wy... stałnowskie wychowanki. Już my wam za to zapłacimy. Niespodziana napaść, a przede wszystkim ładunek dzikiej nienawiści tkwiący w słowach nieznanego — do tego stopnia zaskoczyły i oszołomiły pracujących chłopców, że w pierwszej chwili pozwolono chuliganowi oddalić się bezkarnie. Jedyne mały Kajtuś — odrzucając długą łopatę, którą przesiewał piasek do mészarki — puścił się za nim w poгон. Niestety, uczynił to na swoją własną zgubę. Albowiem, kiedy dopędził uciekającego i chwycił go już za drelchową bluzę — ów wykreślił się błyskawicznie i z całej siły grzmotnął chłopca w twarz. Uderzenie zważyło Kajtusia z nóg. Ale napastnik na tym nie poprzestał. Miotany pijacką furią rzucił się na leżącego i począł go bić i kopać z bezprzykładną brutalnością.

Trzecia drużyna, na widok tego co się stało, wydała zgodny okrzyk grozy i wściekłości. Dwudziestu junaków, wrzeszcząc opętano i wymachując, czym kto miał w rękach: łopatami, kilofami, kielniami, runęło na pomoc koleźce. Ale pomóc była już spóźniona. Pijany zbir — który pod wpływem strachu widocznie otrzeźwiał — kilkoma olbrzymimi susami dosięgnął bocznicę kolejową i przesadził ją na sekundę przed nadjeżdżającym pociągami. Dyszącej żądzą zemsty, pogonił zagroził drogę rozdygotany mur niekończących się wagonów towarowych.

Chłopcy powrócili na miejsce pracy z zaciśniętymi zębami. Na końcu pochodo — osłaniając brudną ręką oko — półprzytomny z bólu i upokorzenia, włókł się Kajtuś.

Ostatnią godzinę przed fajrantem trzecia drużyna pracowała już tylko dla pozorów. O zajściu nie wypowiedziano ani jednego głośniego komentarza. Nie wiadomo o nim także komendantowi grupy i technika, którzy w tym czasie byli zajęci składaniem raportów w baraku kierownictwa technicznego. Jakś nierozumny młodzieńczy wstyd kazał junakom całą tę sprawę pokryć milczeniem.

Ale przeżuwane w ciszy wspomnienia paliły jak ślady po uderzeniach bicia. Wrażliwi chłopcy nie mogli wyrzucić z pamięci złych spojrzeń i wykrzywionej nienawiści twarzy nieznanego. Dusili ich gniew, a krzywdą Kajtusia bolała ich jak własna. Wystąpienie napastnika, pozostające w jakimś wyraznym związku przyczynowym z wielkim, czczonym imieniem, uprawiało junackie umysły w dziwnie przykry niepokój i kładło się ciężarem na młode serca. Tego dnia trzecia drużyna — po raz pierwszy od swego powstania — odmaszerowała z budowy do obozu bez zwykłej piosenki na ustach.

Powrót do brygady nie wpłynął na poprawę humorów. Kajtuś — mimo namów kolegów — nie zgodził się pojsć do lekarza, lecz skrył się przed światem w starej, nieużywanej już, latrynie, aby tam w samotności przeboleć swe zmartwienie. Reszta drużyny skupiła się w namiocie. Przyjemny i wesoły, zazwyczaj, kwadrans wyczekiwania na sygnał obiady — tym razem upłynął w ponurym nastroju. Wprawdzie kilku drużynowych cyników, na czele z Cyganem, próbowało zlekceważyć zajście na budowie i rozładować je podkpiwaniem z nieobecnego Kajtusia — ale te nie-wczesne usiłowania zostały szybko i gwałtownie poskromione przez poważniejszych chłopców. Krótka ognista dyskusja, w czasie której omal nie doszło do wymiany rękoczynów między Cyganem a Solarem, uprzytomniła wszystkim, najbardziej nawet gruboskórny, uczestnikom drużyny, że krzywdą wyrządzona Kajtusowi — w jakiś bliżej nieokreślony sposób — dotknęła cały oddział.

Po zjedzeniu obiady, zdenerwowani chłopcy pckliadli się od razu na łóżka,

nie zmieniając nawet ubiorów robotczych — co było wykroczeniem przeciwko regulaminowi brygadowemu. Zalegająca namiot, nieprzyjemna cisza uległa zakłóceniu tylko raz jeden, i to na krótko. Gwałtowny Solarz, którego niepoohamowany temperament domagał się zawsze głośniego wyładowania, przeciągnął się tak, że chrupnął mu w sławach, i wykrzyknął zapamiętałe:

— Bodaj to najjaśniejsza cholera... Ze też ten drań nie popadł w nasze ręce...

Po tym wybuchu, na który nikt nie odpowiedział, zapadło znowu sepośne milczenie. I być może, że sprawa incydentu na budowie — nie doczekawszy się właściwego rozwiązania — utonąłaby w tym milczeniu na zawsze, gdyby szczęśliwy traf nie rzucił, że sprawę tę wydobylby z ukrycia i uchwycyli mocno, doświadczony troskliwie rece instruktora brygadowego wydziału agitacji i propagandy — kolegi Załogi.

Pogodna twarz Załogi zajął do namiotu trzeciej drużyny na kwadrans przed zakończeniem przerwy obiadowej. Bystre oczy instruktora w lot ooceliły całą niernormalność sytuacji. Śmiechem podsztył głos wtargnął do namiotu jak powiew świeżego powietrza:

— Cóż to znowu za szpital? Pochorowaliscie się na żłądki, czy jak? Wstawajcie no, chłopcy, zaśpiewamy jakąś piosenkę.

Metoda wychowawcza Załogi była niezmienna. Każde swe wykroczenie w sprawy junackie zaczynał zawsze od piosenki lub wiersza. Niejednego ze znajomych Załogi dziwiło — a nawet, co gorsza, śmieszyło — że w szerokokolejowym, grubokościstym i b'jącym

pracy. I Załoga wierzył głęboko i wytrwale, że z czasem stworzy pieśń, która zyska sobie także uznanie bardziej wykształconych kolegów z Warszawy.

W obozowej kadrze podkpiwano nieco z poetycznej manji towarzysza. Śmieśli i ziośliwi junacy również brali udział w tych żartach. Mimo to Załoga lubiano bardzo. Jego proste, rozsądne metody wychowawcze przemawiały do chłopców, którzy wiedzieli doskonale, że ten instruktor interesuje się sprawami junackimi nie tylko w czasie swej służby. Przede wszystkim zaś cenił w nim jego wesołość i dobre, zawsze skłonne do współzucia serce. Dlatego też każde pojawienie się instruktora „agitpropu” w namiotach bywało witane przez ich lekotawo oznakami szczerzej zyciowości. Chłopcy chętnie przerywali dla niego odpoczynek poobiedni i wesołym chórem podchwytali proponowaną piosenkę.

Jednakże tego dnia w namiocie trzeciej drużyny — po raz pierwszy w karierze wychowawczej Załogi — jego propozycja zaśpiewania piosenki napotkała u junaków na milczący, ale zdecydowany opór.

Załoga był doświadczonym wychowawcą i znał swych chłopców. Zrozumiał też od razu, że namiot przeżywa jakąś tragedję, w którą junacy nie chcą go wtajemniczyć. Będąc wyznawcą zasady, że „co nagłe, to po diable”, powiedział więc sobie w duchu: nie dziś — to jutro. I nie ponawiając już swej propozycji, ze słowami: — Nie chcecie śpiewać, to trudno — opuścił milczący namiot.

Jednakże nie zdążył jeszcze przebyć polowy odległości dziejącego go od baraku sztabowego — gdy w polu jego w'żden'a

Na małej polance, otoczonej z wszystkich stron lasem, Załoga dał sygnał do rozejścia się i kazał junakom rozsiąść się półkolem na trawie. Sam pozostał w pozycji stojącej.

— Otóż, chłopcy, sprawa jest taka — rozpoczął — chcę wam najpierw przeczytać pewien wiersz.

Nastroj uroczystego skupienia, poczynał już ogarniać chłopców. Po tym wstępie przysnął jak mydlana bańka. Cygan roześmiał się niemal w głos: — A co, nie mówiliśmy? — W ślad za nim rozległo się kilka stłumionych chichotów.

— Uspokójcie się! — krzyknął gniewnie Załoga głosem naraz zgrubiałym i tak obcym, że na polance zaległa natychmiast śmiertelna cisza. — Tu nie chodzi o czytanie wiersza dla przyjemności. Tu chodzi o zajęcie na budowie, o pobicie waszego kolegi. O sprawę zasadniczą. Waszą sprawę. Sprawę nas wszystkich.

Instruktor zamilkł na chwilę i począł wycierać sobie czoło chustką, choć czoło było zupełnie suche. Chłopcy znieruchomili z lekko rozchylnymi ustami. Zanościło się naprawdę na coś niezwykłego.

Po dłuższej pauzie Załoga rozwinął wycinek z pisma literackiego i począł czytać uroczystym tłumionym przez wzruszenie głosem:

„...W trzech pokojach starego Kremla mieszka człowiek imieniem Józef Stalin. Światło późno gaśnie w jego pokoju, świat i ojczyzna nie dają mu odpocząć. Inni bohaterzy tworzyli państwa. On ponad to pomógł je zrodzić, i zbudować je, i obronić...”

Junacy ze ściągniętymi brwami wstuchiwali się uważnie w głos czytającego, ale widać było, że w żaden sposób nie mogą depatrzeć się zwołania między tym pięknym wierszem o Stalinie a brutalnym pobicie ich małego kolegi.

Załoga mówił dalej: — Ten wiersz napisał wielki poeta Ameryki Południowej, Pablo Neruda. Faszycy wygnali go z ojczyzny za to, że walczył o wolność i polepszenie doli swego ludu... Wielu innych wielkich poetów walczących o wolność swoich ludów i również przesławianych za to — pisze dziś wiersze o Stalinie. Muzyce poświęcają mu swoją muzykę. Malarze i rzeźbiarze malują i rzeźbią jego wizerunki. Miliony ludzi pracy na całym świecie mają dziś na ustach wielkie imię Stalina. Bo Stalin to znaczy chleb i wolność od wyzysku dla wszystkich pracujących. Stalin — to znaczy budowa nowego lepszego życia. Stalin — to znaczy pokój.

W wierzchołkach drzew otaczających polankę zaszumiało wiatrem. Z odległej budowy dobiegł uszu chłopców przeciągły ostry krzyk syreny. W skupionej gromadce ktoś stęknął z przejęciem.

Załoga mknął spojrzeniem zastuchanego Kajtusia i p'ndnił głosem: — Dziś przed południem zły nierozumny człowiek — wróg — zaczął w was w czasie pracy. Nazwał was w żłości wychowankami Stalina, a następnie brutalnie pobił waszego najmłodszego kolegę. Czy wiecie, za co was to spotkało?

— Za nic! — krzyknął z wściekłością Solarz — właśnie, że za nic. Chyba za to, żeśmy pracowali.

— Tak, właśnie za to, żeście pracowali. Za to, że budujecie piękne wygodne domy dla robotników. Za to, że w przyszłości tu, w zaniebananej części Polski zbudujecie zakłady przemysłowe, które w dwójnasób zwiększą siłę gospodarczą naszego kraju. Za to was pobito. Za to nazwano was wychowankami Stalina. Bo dzisiaj na całym świecie wrogowie postępu nazywają w ten sposób i zwalczają tych wszystkich, którzy ciężką pracą twórczą walczą o pełne zwycięstwo klasy robotniczej, o lepsze pokojowe jutro dla całej ludzkości.

Załoga zasał się lekko ze wzruszenia i powtórnie otarł chusteczką suche czoło. Po czym — zacerpnawszy szerokiego odciechu — mówił dalej:

— Tę najzaszczytniejszą nazwę, jaką można dziś obdarzyć człowieka, cieszę się wam w twarz ze wściekłością, jako obelgę. Nie przejmujcie się tym. Z im większą wściekłością wróg będzie nas tak nazywał — tym wyraźniejszy dla nas znak, że dobrze pracujemy, że sprawa nasza jest słuszna. Niech chrczi nas tą nazwą najczęściej. My chcemy być godnymi wychowankami Stalina i chcemy, by nas za takich uważano.

W gromadzie junaków zaszumiało. Ze środka, gdzie siedzieli aktywiści, wysoki cieniutki głos zawał: — Njech żyje Józef Stalin, wielki wódz światowego proletariatu!

Ciszą leśnej polanki wstrząsnął ogromny choralny okrzyk — zrazu szeroki i rzlewny, stopniowo rytmizujący się w coraz szerszy sjełany takt:

Sta-lin, Sta-lin, Sta-lin, Sta-lin. Załoga spokojnie przeczekał brawa i okrzyki. Po czym powiedział: — Dobrze, że klaszczecie i krzyczycie w takim zapale. Niech słyszy waszą odpowiedź każdy, kto usiłuje przeszkadzać nam w pracy. Ale oklaski i wiyaty to jeszcze nie wszystko. My musimy pokazać tym, którzy nazywają nas wychowankami Stalina, że jesteśmy tak samo godni tej nazwy, jak sławni budowniczoie Komsomolska. Musimy wzmóc nasz wysiłek, musimy budować szybciej, budować lepiej, budować, budować i jeszcze raz budować.

Przy tych ostatnich, twardeo wybitych słowach, bystre jasne spojrzenie instruktora zetempowskiego zwróciło się w stronę grupki drużynowych aktywistów. Zanim jednak aktywiści zdążyli dojść do głosu — przed gromadę junaków wyskoczył Kajtuś. „Bohater dnia” wyglądał strasznie. Jego lewo oko skryto się w czarnym opuchłym śniecu, a policzek wzdął się jak po ukąszeniu szerszenia. Z małej po-hanbionej postaci bilo w tej chwili podniecenie graniczące z egzaltacją. Brudny palec Kajtusia wskazywał z napięciem na białą kartkę z wierszem w rękach instruktora, a z drżących warg wylatywały jak z procy schryplie wzruszone słowa:

— Zaczekajcie kolego... zaczekajcie... więc tego wygnali faszycy... A mnie... w twarz... także faszycy...

— Tak — odrzekł krótko również wzruszony Załoga.

— Wobec tego... — powiedział Kajtuś, z trudem łapiąc oddech i pęczniąc od napływu szalonej dumy — Wobec tego...

Niestety muze historii nie udało się zapisać do końca słów Teodora Ścjanowskięgo, zwanego powszechnie Kajtus'em. Albowiem właśnie w tym momencie za jego plecami huknął jak grom głos Solarza:

— Koledzy, na rany Boga, zbudujemy wcześniej nasz blok. Wcześniej o miesiąc... Na złote faszystom...

— Zbudujemy! — odwrzknęła cała drużyna. Posypały się zobowiązania produkcyjne. Zobowiązywali się wszyscy, bez wyjątku. Cała pasja, narastała w chłopcach w ciągu zlego dnia, wyladowywała się w zarliwych zobowiązaniach. Załoga pisał i pisał... Nad lasem zapadał zmierzch.

Kiedy drużyna powracała do obozu, było już zupełnie szaro. Z twarzy chłopców zmartwienie opadło bez śladu. Byli ożywieni i zmobilizowani do walki. Rozprawiano głośno o normach produkcyjnych i o sposobach zwalczania wroga na budowie.

Jeden Załoga nie brał udziału w ogólnym ożywieniu. Siedział samotnie na kilka krków przed oddziałem i przeżywał w milczeniu zadowolenie z minioneo dnia. Odczuwał w tej chwili wieczorną owa lekką uskrzydloną radość, jaką znają tylko twórcy. Gdzieś w głębi mózgu wzywał się z mgławic coraz wyraźniejszy kontur piosenki. Tym razem Załoga był przekonany, że jego nowa piosenka spodobą się wszystkim kolegom.

Marian Brandys

KRONIKA RADZIECKA

ZGON A. W. NIEZDANOWEJ

W czerwcu zmarła w Moskwie światowej sławy śpiewaczka, Antonina Wasiliewna Niezdanowa. Niezdanowa należała do najznakomitszych śpiewaków rosyjskich, nie ustępując swoim talentem takim sławom, jak Szaliapin, Sobinow, Dawydow, Jerszow itd.

Debut Niezdanowej odbył się w 1902 roku na scenie Wielkiego Teatru w Moskwie, w operze „Iwan Susanin”. Już pierwszy występ zapewnił artystce wielki sukces. Długoletnią i wytrwałą pracą nad sobą Niezdanowa doprowadziła swój głos do mistrzostwa, występując w niezliczonej ilości oper, koncertów i recitalów. Jej dźwięczny głos, pełen szczerości tudzież narodowych i realistycznych pierwiastków, urzekał masy słuchaczy, zyskując sobie popularność zwłaszcza wśród publiczności robotniczej.

Po Rewolucji Październikowej Niezdanowa objęła stanowisko profesora Państwowego Moskiewskiego Konserwatorium, gdzie wychowała plejadę doskonałych śpiewaków operowych. W okresie Wielkiej Wojny Narodowej śpiewaczka często gościła w szpitalach przyfrontowych, koncertując dla rannych żołnierzy Armii Czerwonej.

Naród i Państwo radzieckie doceniły talent i patriotyzm Niezdanowej, nagradzając ją wielokrotnie orderami: Lenina i Czerwonego Sztandaru Pracy, nagrodą Stalina, mianem Ludowej Artystki ZSRR. Zgon niezapomnianej artystki pokrył żalobą świat kulturalny ZSRR.

TEATR RADZIECKI KU CZCI 33 ROCZNICY REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

W 33 rocznicę Rewolucji Październikowej ukażą się na scenach teatrów radzieckich nowe utwory dramatyczne o współczesnej, aktualnej tematyce. MCHAT przygotowuje inscenizację powieści E. Malcewa „Z całego serca”, której sceniczny tytuł będzie brzmiał: „Dru-ga miłość”. Ponadto w tym samym teatrze będzie wystawiony w nowej redakcji „Przełom” Lawreniewa oraz nowy dramat Krona p. t. „Doświadczenie” ilustrujący przeżycia i pracę moskiewskich robotników przemysłowych.

Na scenie filii Małego Teatru ukaże się dramat D. Zorina osnuty na tle życia radzieckich inżynierów-geologów — p. t. „Noc kwietniowa”. Teatry moskiewskie im. „Mossowietu” i „Jermolowej” opracowują sztukę A. Surowa p. t. „Świt nad Moskwą”. Utwór ten ukazuje interesujące typy radzieckich przodowników Pracy, ich inwencje nowatorską i wszechstronność zainteresowań życiowych. W teatrze im. Wachtangowa będzie odegrany nowy dramat M. Safatowicza i B. Fajansa p. t. „Doradca państwowy”, którego ośrodkiem jest konflikt między społecznym-prawnym pojęciem praworządności radzieckiej a jej indywidualistyczną interpretacją. Znaczna część pramferu uzupełni także nowy utwór J. Czepurina „Bliskość”, którego akcja rozgrywa się w pierwotnym odbudowującym się Stalingradzie, wśród racjonalizatorów stalingradzkiej fabryki traktorów.

Teatry moskiewskie wystawią także sztuki dramaturgów bratnich republik, a więc „Gaj kalinowy” Korniiejczuka, „Trzech kapitanów” estońskiego autora Jakobsona itp. Z powyższego, niekompletnego, zestawienia widać, że dramatyczne teatry radzieckie przygotowują się intensywnie do uczczenia 33 rocznicy Rewolucji Październikowej, kładąc największy nacisk na repertuar aktualny.

E. Metal.



Powrót z pracy

Fot. Jarochowski

w czy tężyzna fizyczna, ciele instruktora „Agitpropu” kryło się wrażliwe serce poety i pieśniarza. Po bliższym jednak zbadaniu sprawy, ten pozorny paradoks wyjaśniał się w sposób prosty i niemal naukowy.

Na dwa lata przed wybuchem wojny, czternastoletni wówczas Załoga — sierota, wychowany przez ulicę proletariackich Bałut — dostał posadę gonca w jednym z łódzkich teatrzyków rewiiowych. To przypadkowe zetknięcie z teatrem — choć w nienajlepszej jego formie — roznieciło drzemającą w małym uliczniku iskierkę artystyczną i wykreśliło trwałe zasadniczą linię jego upodobań. Mimo ciężkiej i wyczerpującej harówki trwającej od świtu do zmroku — Załoga, w czasie swego dwuletniego pobytu w teatrze, nie opuścił ani jednego z wieczornych przedstawień rewiiowych. Trzy godziny, podczas których — stojąc w niewygodnej pozycji za kulisami — chłonął z upełnieniem płynące ze scenki melodie i niewybredne, ale rytmiczne słowa piosenek, były dla Załogi najlepszą zapłatą za cały ciężki dzień pracy — i nigdy nie wahał się kraść tych godzin ze swych krótkich nocy.

Od tekstów rewiiowych młody goniec teatralny przeszedł do dobrych poważnych wierszy. Dzięki przyjaźnielowi, pomocnikowi maszynisty, zbliżył się i w parę miesięcy potem wstąpił do Komunistycznego Związku Młodzieży, gdzie zaznajomił się z tomiaki Broniewskiego i z wierszami Majakowskiego. Od tamtych czasów sprawy wielkiej polityki i sprawy rewolucji wiązały się trwałe w umyśle Załogi z poezją i z pieśnią. Pierwsze lata wojny rzuciły go z miejsca na miejsce. Ale nurt historycznych wydarzeń nie zdołał wyrzucić z jego plecak ukończonych wierszy. Poezja stała się dla Załogi czymś więcej niż rozrywką. Z niej począł czerpać natchnienie do swej pracy. Służyła mu jako drogowskaz. W wianym słowie podpartym bujną melodią najpiękniej przeciw odbijało się życie i jego trudna walka. Pokoik zetempowskiego instruktora w baraku „sztabowym” gromadził coraz więcej niewielkich tomików i całe sterty wycinków z pism literackich.

Ale Załoga nie tylko wczytywał się w wiersze i słuchał pieśni. Jego gorącym, tkliwie hołubionym pragnieniem było także tworzyć. Na razie samodzielna twórczość artystyczna instruktora była jeszcze bardzo skromna. Od czasu do czasu zdarzało mu się ułożyć jakąś niewyszukaną piosenkę zetempowską. W wydziale Agitacji i Propagandy Zarządu Głównego ZMP w Warszawie utworów Załogi nie traktowano poważnie, ale — dziwna rzecz — do junaków one trafiały. Njktóre z tych rozbrajająco naiwnych, ale podmalowanych szczerym uczuciem, piosenek — mimo że nie weszły do oficjalnego śpiewnika — zyskały sobie pełne prawo obywatelstwa w namiotach i przy

pojawiła się żalonna f'gurka Kajtusia powracającego ze swej samotni. Jeden rzut oka na spuchniętą i posiniaczoną twarz junaka wprowadził Załogę w samo sedno drużynowej tajemnicy. Wyciągnąć z Kajtusia wszystkich szczegółów zajścia na budowie nie nastreżyła zresztą specjalnych trudności. Meźna dusza małego „bohatera dnia” zbyt już nabrzmiała załem w samotności, aby mogła dłużej bronić się przed współczuciem.

Po wysłuchaniu opowieści Kajtusia, Załoga popadł w głębokie zamyslenie.

— Więc nazwał was stałnowskim wychowankami? — zapytał w zadumie — Ha, to trzeba będzie wyjaśnić. To trzeba będzie dokładnie wyjaśnić.

— Ale mnie uderzył tak mocno w twarz, że upadłem, a potem mnie kopał — krzyknął Kajtuś rozszczęszone tym, że jego wielka krzywda została niesłusznie zepchnięta na dalszy plan.

— A was uderzył w twarz... Tak... oczywiście... to również trzeba będzie wyjaśnić — powtórzył Załoga, jak gdyby z niechęcią odrywając się od swej głównej myśli — Pomówimy o tym wszystkim dziś w czasie zajęć świetlicowych. A na razie: część pieśni.

— Cześć pieśni — machinalnie odważemnił pozdrowienie Kajtusia, i bardzo niezadowolony z wyniku rozmowy z instruktorem, natychmiast po oddaleniu się Załogi pośpieszył do namiotu, aby złożyć sprawozdanie kolegom.

— Powiedział, że wszystko się wyjaśni na dzisiejszych zajęciach świetlicowych — oznajmił z namaszczeniem drużynie. Ale drużyna przyjęła to oświadczenie bez entuzjazmu.

— Co tu jest do wyjaśniania? — prychnął szczerzo ziośliwy i kiótlwy Cygan — Odczyta jeszcze jeden wiersz, albo i śpiwke, i tyle będzie tego wyjaśnienia. Dostałeś Kajtek w mordę, to ci nikt tego nie odbierze.

Chłopcy obruszyli się wprawdzie nieco na Cygana — ale w skuteczności pomocy Załogi tym razem rzeczywistość nikt jakos nie wierzył.

Mimo to, po szkoleniu ogólnoszkolnym — na kilkanaście minut przed godziną 18, o której zaczynały się zajęcia świetlicowe — w namiocie trzeciej drużyny odczuwano się wyraźnie nastroj naprężonego oczekiwania.

Załoga zjawił się przed namiotem punktualnie o godzinie 18 — dziwnie jakos napuszony, bez swego pogodnego uśmiechu.

Zazwyczaj zajęcia świetlicowe odbywały się w jednej z świetlic brygadowych. Tym razem jednak Załoga kazał ustawić się drużynie dwójkami i poprowadził ją w kierunku sąsiadującego z obozem, so-nownego lasu. Mały oddziałek m'nął linie psterunków, przeszedł szpalerem falujących zbóż i wstąpił w gęstwie drzew. Chłopcy byli podnieceni. W lasu odbywano dotychczas najbardziej uroczyste zebrania kół zetempowskich.

ANNA SEGHERS

EDMUND OSMAŃCZYK

Notatnik korespondenta

Słowo pisarza o pokoju W „Południowej Korei”

PRZED sumieniem każdego z was dzisiaj pytanie: co uczynicie dla pokoju? Kiedy zapytano tu radzieckiego pisarza, czy w jego kraju pisarz jest wolny, odpowiedział: „W Związku Radzieckim pisarz odpowiedzialny jest przed tą samą instancją, przed którą odpowiedzialni są prawdziwi pisarze na całym świecie — przed własnym sumieniem”.

Przed wszystkimi pisarzami świata stoi dziś pytanie: co uczynicie dla pokoju? To samo pytanie na Wschodzie i na Zachodzie, w krajach kapitalistycznych i w krajach socjalizmu. Jednocześnie wszędzie odpowiedzi artysty zyskują jeszcze jeden, bezsporny rezonans, tam, gdzie dosięga nie tysięcy lecz dziesiątków tysięcy czytelników. Simonow powiedział: „Świadomość, że można być czytany przez miliony, stawia przed każdym, odpowiedzialnym za swoją twórczość pisarzem nowe, po raz pierwszy zrodzone problemy. Upostaciowana w jego dziele idea „staje się w zetknięciu z masami siłą materialną”.

Wymieniamy figurujące pod Apelem Sztokholmskim nazwiska różnych pisarzy z krajów Wschodu i Zachodu, aby wyjaśnić ich znaczenie w walce o pokój. Pisarz niemiecki czy zagraniczny, współczesny czy klasyczny, dochodzi do tego, co André Wurmser, francuski dziennikarz pisał niedawno, analizując współczesną naszą literaturę: kto nie należy dziś do naszego frontu pokoju, ten żywa z dziedzictwem takiej literatury, gdzie wielcy twórcy (Balzac, Zola, Anatol France) odtwarzają w swoich dziełach rzeczywistość, wstrząsała swą epoką. Poczucie się do związku z takim twórcą ogranicza się wtedy co najwyżej do rocznicowych ceremonii lub artykułów z historii literatury.

Wkład pisarzy w sprawę pokoju nie polega tylko na złożeniu podpisu pod apelem, ani w braniu udziału w kongresach, ani w wygłaszaniu odczytów lub pisaniu artykułów. Treść zawarta w programach naszych kongresów pokojowych — dawno już w innej formie została opublikowana w ich dziele, oczywiście, jeżeli są zdolni pisać rzeczowo i świadomie, bez względu na to, czy piszą w języku angielskim, francuskim, niemieckim czy rosyjskim. W naszym programie w Paryżu byli m. in. następujące punkty: Wyjaśnić tajemnicę wojny. — Szacunek dla innych ras i narodów. — Samemu ustanawiać nad sobą prawo. — Przyjazna wymiana wszystkich dóbr gospodarczych i kulturalnych.

W jaki sposób mogą takie punkty programu zmieniać się w ciało i krew? W jaki sposób wielcy pisarze mogli je wyrazić w swoich dziełach, w swoich wiekach, ogólnych, nie przedzielonych żadną granicą obrazach świata, często na długo przed tym, zanim zostały sformułowane?

Zaczynamy od Brazylijczyka Amado, który pisze po portugalsku. Jak możemy tu, w Europie Środkowej, zrozumieć mentalność ludu innej rasy, o innym kolorze skóry, mieszkającego w innej części świata? Jak możemy jaśniej jeszcze, niż na podstawie artykułu, wypowiedzi, kongresu wnikać w takie pojęcia, jak walka o rynek zbytu, zysk, konkurencja, kryzys? Jak nauczyć naszą młodzież zrozumienia, że ustrój społeczny, który się opiera na wyzysku zamiast na wolnej pracy, kryje w sobie groźbę wojny?

Amado jasno przedstawia nam w swoich powieściach, na czym polega stopniowe przechodzenie z warunków pracy prymitywnych do rozwiniętych i skomplikowanych pod dominacją amerykańskiego kapitału. Wyjaśnia nam, co to znaczy karcowanie dziewczęcej puszki, uprawa kakao w Brazylii. Nie wiedzieliśmy dawniej, jak ten produkt dostawał się na rynek. Kupowaliśmy go zaleźnie od posiadanej gotówki. Zasnawa wokół niego była gęsto utkana nie tylko ze względu na wojnę — był to przecież produkt określonej gospodarki, stanowił wartość, zysk, posiadał swój rynek zbytu. Kto czyta powieść Amado, jest świadkiem pomiarów dziewczęcej puszki, na której ma powstać plantacja; kto taką powieść przeczytał, nie będzie już usprawiedliwiał swojej ignorancji.

Co ma wspólnego tematyka tak odrębnych pisarzy jak Amado i Szołochow? Pierwszy pokazuje prymitywną i półkolonialną pracę, drugi — pracę socjalistyczną w początkach kształtowania się nowego społeczeństwa. Kraj, w którym zmikło pojęcie zysku i kryzysu, w którym znikły wszystkie czynniki przygotowujące wojnę, może pragnąć tylko pokoju i tylko pokoju bronić. Dlatego Zw. Radziecki nazwany został „twierdzą pokoju” a pisarze radzieccy filarami tej twierdzy. W powieści Szołochowa chodzi o społeczne „karcowanie puszki” na początku pierwszej radzieckiej pięcioletki. W powieści p. t. „Zorany ugor” ziemia zostaje wydarta kuliakom, zdziwiałym od żądzy posiadania sabotażystom. Szołochow zmusza swych czytelników, aby jeszcze raz podjęli zadanie. Jest w nim odwaga wielkiego artysty, który nie unika przeciwieństw znaczących drogę każdego rozwoju i stara się wydobyc z powierzchni istoty spraw. Kto czyta powieści innych radzieckich autorów, lepiej zrozumie, co oznacza wolna, socjalistyczna praca — i dającego ustrój społeczny, który usunął możliwość zysku i kryzysów, musiał wzbudzić i nawiązać u tych, którzy bogactwa się dzięki wyzyskowi i dla których wojna jest jedyną szansą utrzymania się przy bogactwie. I na czym polega siła, za pomocą której broni się wolna praca.

Amerikanin Howard Fast, który jako obywatel pokoju poznał sady i więzienia swojego kraju, przedstawia nam w swojej powieści „Obywatel Tom Payne” drogę nadziei i rozczarowań swego narodu do chwili, kiedy Wall Street i plan Marshalla stał się symbolem dla klasy panującej. Słuchaliśmy Fasta mówiącego na Kongresie Paryskim z miłością i gorzkim rozczarowaniem o swoim kra-

ju, ponieważ zbroił się teraz do walki przeciwko wojności. Fast został spotwany przed własnym narodem — jak Payne, który w walkach o wolność zdobył się na najwyższą ofiarę, a potem został tajnie skazany przez tych, którzy po zakończeniu walk zagarnęli władzę.

W powieściach Fasta czytelnik przeżywa — przeskakując czas i przestrzeń — okres, w którym społeczeństwo burżuazyjne wkracza na widowisko, w powieściach Aragona — ostatnią fazę rozwoju tego społeczeństwa w zachodniej Europie. Siłą rzeczy autor na nowo musi przemysleć to „wczoraj”, na którym „dzisiaj” się opiera. W cyklu powieściowym p. t. „Komuniści”, z którego dotychczas ukazały się trzy tomy, staje wobec wydarzeń ostatnich trzydziestu lat. Upadek republiki hiszpańskiej, który jest wstępem do tej epoki, służy jednocześnie jako prolog powieści. Czytelnik zmuszony jest jeszcze raz przeżyć wszystkie zdarzenia z wszystkimi możliwymi typami ludzi: we Francji. Z tymi, którzy za żadną cenę nie chcą oderwać się od przeszłości, z niepewnymi, wahającymi się, którzy wciąż jeszcze na nią stawiają; z nieświadomymi, którzy nie potrafili przedrzeć się poprzez swoje środowisko, ze słabymi, którzy rezygnują z decyzji. Czytelnik zmuszony jest również uprzytomnić sobie, co to właściwie znaczy: być komunistą. Tak jakby nigdy dotychczas jeszcze żadnego komunisty nie widział. Teraz widzi go w jego robocie politycznym, jako robotnika i ojca, w miłości i przyjaźni. Widzi go nie tylko w jego codziennej pracy nad samym sobą, widzi go również w świetle jego wpływów i oddziaływań na innych. W chwilach najwykolejszych i w chwilach najwznieślijszych. W wielkim chaosie. A że czytelnik był świadkiem, jak

wielkie wypadki dziejowe działają na ludzi wszelkich typów, pojmuje, na czym opiera się wiera, w której trzeźwo rozsadk stopił się z uczuciem. Do tego dzieła, podobnie jak do innych wielkich powieści napisanych przez twórców należących do frontu pokoju, stosuje się wypowiedź Mao-Tse-tunga zwrócona do pisarzy jego narodu:

— Wpływ prawdziwego dzieła sztuki może być bardziej jeszcze rozstrzygający niż sama rzeczywistość. Rzeczywistość bowiem działa poprzez ułamki i nieskoordynowane, chaotycznie pomieszane cząstki. Różnorodna i ustawicznie się obrazająca — nie zawsze pozwala obserwatorowi chwycić właściwie wszystkie poszczególne zjawiska. Przeciwnie — niejednokrotnie w powodzi szczegółów ginie mu z oczu istota rzeczy. Przewyższają ją, przykład, do widoku stałe niedy i głodu w świecie kapitalistycznym, żądzy zysków i posiadania. Twórcą zmusza go do ponownej wędrowki poprzez ten świat już w płaszczyźnie fikcji artystycznej, gdzie właśnie istota sprawy została wydobytą na powierzchnię — a na to musi reagować!

Jakakolwiek by kunsztowna i gęsta zasłona odkryte były tajemnice życia, twórczość pisarza zdziera ją ostatecznie. W książce nie istnieją tajemnice wojny, ani żadna inna tajemnica dotycząca zjawisk społecznych. Dlatego właśnie w dziełach tych pisarzy znajdują pełny wyraz lapidarne punkty programu.

W każdej części świata, w każdym kraju mocno i donośnie wołają twórcy o tym co ludom zagraża. W sposób zdumiewający powieksza się z roku na rok front walczących o pokój pisarzy, aby walczyć jeszcze jeden ton w zwartym, olbrzymim dziele.

Anna Seghers

„NOWE PRZYGODY SZWEJKA” W WERSJI SCENICZNEJ

Powieść Haszka — „Przygody dzielnego wojaka Szwejka” odegrała w okresie międzywojennym kolosalną rolę — nie tylko jako potężny oręż, którym pisarz czeski raz na zawsze rozprawił się z cesarsko-królewską tępota austriackiego drylu wojskowego, ale przede wszystkim jako dokument demokracji pojętą w ostatnich dniach umierającego na uwad starczy feudalizmu, jako dokument zdrowego oporu czeskich mas ludowych wobec wciągania ich przez c. k. Austrię w imperialistyczną awanturę wojenną. Nie zapomnijmy jednak, że elementy postępowe, które porodziły niezapomnianą postać Szwejka, zmieniły swą funkcję w innych warunkach historycznych, na innym szczeblu rozwoju życia społecznego. Szwejk i jego swoisty humor wyjątkowo nie pasują do tragicznych okoliczności ostatniej wojny, do ciężkiej, pełnej powagi decydującej walki z hitlerowskimi Niemcami, z groźbą faszystyzacji świata.

W drukowanym w tym samym numerze „Nowej Kultury” liście do redakcji Anatol Stern, adaptator polskiej scenicznej wersji powieści Słobodskojego o przygodach Szwejka podczas drugiej wojny światowej pisze o przytymowej roli, jaką powieść ta odegrała w Związku Radzieckim, broniąc Słobodskojego, a pośrednio i siebie przed analogicznymi z moim zarzutami innych recenzentów. Nie chcę polemizować ze Słobodskojem — pomimo iż wzięłam sobie do serca utyskiwaną a Sterną, że recenzenci nie znają prototypu jego scenicznej wersji, nie udało mi się odnaleźć w Warszawie oryginalnego tekstu, powieści omawianej. Bardziej może, że wbrew wypowiedzianym powyżej zastrzeżeniom, autorowi powieści udało się wybrnąć szczęśliwie z tych trudności, jakie stworzyła dyalektyka historii w stosunku do postaci Szwejka w czasie drugiej wojny światowej; nie wyobrażałbym sobie przecież inaczej tego powodzenia, jakie miała powieść Słobodskojego u publiczności radzieckiej. Niemniej ten punkt obrony upada w stosunku do polskiej przeróbki scenicznej, gdyż tego rodzaju przeróbka siłą rzeczy staje się niejakim utworem całkowicie autonomizującym. Autor adaptacji: mógł przecież opuścić te istotne elementy, które postać nowego Szwejka osadzały mocno w nowym czasie historycznym.

Nie przesadzajmy jednak sprawy. W „Ludowym Teatrze Muzycznym” widzieliśmy utwór sceniczny „Nowe przygody dzielnego wojaka Szwejka” i tylko o tym utwórze — niezależnie od jego pierwowzoru prozaicznego — możemy mówić, a za ten utwór odpowiada nie Słobodskoj, lecz twórca wersji scenicznej. I tu stwierdzić należy, że ten Szwejk, blade odbicie Szwejka haszkowskiego, w drugiej wojnie światowej znalazł się

przez całkowite nieporozumienie i przez nieporozumienie zapewne znalazł się również na deskach Teatru Ludowego.

Dziwnie nieprzekonywująco wygląda jego zachowanie wobec hitlerowskich żołdaków. Wobec oberführera SS, który został przedstawiony w sztuce jako banda idiotów. Niestety, hitlerowie idiotami nie byli. Nie byli to oficerowie cesarsko-królewskiej armii i Szwejk, zanim zdążyłby pisać jeden ze swych dowcipów, przejechałby się co najmniej do Oświęcimia lub do Mauthausen. Wojna z faszystami nie była tylko wojną z fabrykantami broni, jak wyobraża sobie śielankowo Anatol Stern, pisząc to w programie swej sztuki.

Ta niewspółmierność przeciwstawnych postaci — Szwejka i hitlerowców przedstawionych jako nieszkodliwe, wygłupiające się balany, łamie autonomię artystyczną fikcji literackiej, z góry przekreśla całą koncepcję utworu. Również nieuzasadniona jest nagła przemiana Szwejka w bohatera pozytywnego, który pod sam koniec sztuki, zmierzwiwszy sobie rolę weselka mówiącego dowcipne paradoksy, zaczyna wygłaszać przemówienie polityczne, zabarwione na domiar złe fałszywie pojętym pacyfizmem.

W tej sytuacji nie może uratować sztuki kilka istotnie dowcipnych scen, choćby w nich Szwejk nie wiał jak przekonywująco wyśmiewał absurdalność rasizmu. Humor Szwejka traci na sile przez prymitywne ujęcie przeciwstawianych mu postaci Niemców. Całością dopełnia „uroczy” dialog pomiędzy oberführerem a jego żoną, pełen niewybrednych, na wpół pornograficznych dowcipów.

Kierownictwo teatru dołożyło zresztą wszelkich starań, aby położyć ostatecznie sztukę. Reżyseria, która mogłaby ją uratować przez dokonanie pewnych słów; przez podkreślenie śmiechu, jak gdyby przez przekorę podkreślała właśnie dłużyzny, tak że pomimo dobrego zespołu aktorskiego, gra aktorów musiała wobec tego pozostawiać wiele do życzenia. Nie uratowały sztuki bohaterstwa wysiłki Tadeusza Surowy, który w roli Szwejka miał kilka naprawdę znakomych momentów. Najlepsi aktorzy w tej sytuacji nie daliby sobie rady. Ilustracja muzyczna — świetny przykład grafomanii w tej dziedzinie — dopełniała całości widowiska.

Na zakończenie kilka zapytań: Czy doprawdy Teatr Ludowy, który ma obsługiwać najszersze masy, nie powinien się starać o jak najwyższy poziom przedstawień? Czy właśnie Teatr Ludowy może dopuszczać w swoich przedstawieniach akcenty pornograficzne i fałszywe postawienie sztuki pod względem politycznym? Pytania te nie są retoryczne i wiemy wszyscy, jaka na nie powinna paść odpowiedź.

S. P.



„Nowe przygody dzielnego wojaka Szwejka” w Ludowym Teatrze Muzycznym w Warszawie.

I.

W wystawowym oknie zachodnio-niemieckiej księgarni rozłożono „niemieckie” nowości wydawnicze 1950. Sartre, Mailer, Malaparte, Eliot, Clay, Ruth Fischer, James Burnham, Koestler, Ortega y Gasset, Churchill. Egzystencjalistyczne opowiadania, nihilistyczne powieści, obłudne essaye, zakłamane pamiętniki, „filozofia” faszyzmu, cyniczne pochwały zimnej i gorącej wojny — oto karma „zachodniej kultury” dla „zachodnich” Niemców. W środku zaś tego wieńca nowości wydawniczych 1950, filut księgarz umieścił jedną jedyną książkę nie tłumaczoną na niemiecki, bo napisaną po niemiecku, szare tomisko szwajcarskiego uczonego, wydane w Zurichu p. t. „Strach jako choroba zachodniej kultury”.

W hamburskim porcie, w dniach, kiedy wojska amerykańskie poczęły się cofać przed wojskami bohaterskich Koreańczyków, w działem jachty i kutry rybackie załadowane kuframi południowokoreańskich — przepraszam — zachodnio-niemieckich bogaczy, gotowych w razie czego odpłynąć od brzegów ojczyzny. Właściciele jachtów i kutrów robili w owych dniach wspaniałe interesy, nie mówiąc już o liniach lotniczych, które wyprzedzały wszystkie miejsca na miesiąc naprzód. Cukier i tłuszcz znikły z rynku, a benzyna podrożała dwukrotnie.

Rozmawiałem z jednym z takich „patriotów” Europy, gotowym do ucieczki z Europy w chwili jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

„Komunizm musi być zmieciony i będzie zmieciony z powierzchni ziemi” — mówił w patriotycznym zapale — ale ja chcę to przeżyć! — „Po co?” — spytałem bogatego, wytwornego pana. Obrzucił się na mnie za to chamskie pytanie, ale natychmiast zmienił ton na pojednawczo-uprzejmy, kiedy mu powiedziałem, że jestem północnym Koreańczykiem! — W oczach zamigotał mu strach. Nie wiedział, czy to zły żart czy zła prawda. Zlustrował moje dobre zaproszenie ubranie i z uczuciem ulgi powiedział: „Pan żartował. Pan nie jest stamtąd...” I natychmiast, na wszelki wypadek, począł mnie przekonywać, że on nigdy polityką się nie zajmował.

„Miejny odwagę powiedzcie sobie, że rządzą nami strach”. Tymi słowami rozpoczął swą wypowiedź cholowy przedstawiciel Heidebergu, profesor Doif Sternberger, w piątym tygodniu wyzwalania południowej Korei.

WSRÓD KSIĄZEK

Tytuł oryginału: „Les Gens du pays”. Przekład autoryzowany Jadwigi Oledziej, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1950, str. 220, 4 nl.

„Ludzie z jednej wsi” — to ponury epizod z kronik okupacji hitlerowskiej we Francji, epizod raczej dość przeciętny i — jednocześnie dla metod najeźdźcy charakterystyczny. W maleńkiej wiosce nadmorskiej — Trifleur, gdzie pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci, zdarza się fakt dezercji żołnierza z kwateryjącego tu oddziału niemieckiego. Uciekając nocą, żołnierz spadł ze skały i postradał życie. Mimo że przebieg sprawy jest oczywisty, gestapowcy z pobliskiego miasteczka wszczynają poszukiwania nieistniejącego „zabójcy”, a ponieważ — na wezwanie władz ta się nie zgłasza, okupanci biorą na chybił trafił dziesięciu zakładników, którzy „za przykład” będą rozstrzelani partiami. Trzech spośród nich hitlerowcy mordują od razu, pozostali oczekują swej kolei, jedynie znalezione czy też zgłoszenie się „zabójcy” może ułomić ich od śmierci.

Rolę wybiaciełki bierze na siebie młoda dziewczyna wiejska, co w danej sytuacji nie jest rzeczą łatwą. Aby „uprawdopodobnić” niepełnioną zabójstwo owego dezercera, Iwona zabija już naprawdę niemieckiego sierżanta, pozostawiając na piersiach trupa kartkę ze swoim podpisem. Dalszy przebieg tej historii wygląda niejasno, bowiem Iwona nie oddaje się w ręce hitlerowców, lecz ucieka z wioski. Trudno więc odgadnąć, jaki los spotkał pozostałych siedmiu zakładników.

Opowiadanie o „Ludziach z jednej wsi” jest jak gdyby niedopowiedziane, niedoprowadzone do logicznego końca. Ale ten błąd fabularny można by darować autorowi, który w toku akcji interesująco scharakteryzował dwa wrogie obozy w Trifleur i ze znajomością rzeczy odwrócił nastroje i uczucia mieszkanków tej wioski, zdanych na łaskę i niełaskę okupanta. Lecz historia opowiadana przez Poznera grzeszy nadmiarem dość jałowego psychologizmu, w czym dopatrzeć się można dziedzictwa literatury międzywojennej. Myśli, czyny, sytuacje przedstawione są tu nie tyle w charakterze zwartego łańcucha przyczyn i skutków, ile w postaci luźnych produktów bardzo drobiazgowej i zawilej analizy psychologicznej, która komplikuje i zaciemnia bieg wypadków.

Wydać się nawet, że drobiazgowość tej analizy prowadzi niekiedy autora na manowce przedmiotowego nieprawdopodobieństwa. Trudno np. uwierzyć, że ów dezercer — Huber, chłop bawarski, zrosnięty całą swą istotą ze skrawkiem własnej ziemi, przedsięwziął ucieczkę z oddziału, nie licząc się wcale z tym, iż pomiędzy Atlantykami a Bawarią sto razy będzie zatrzymany. A gdyby nawet dotarł — wbrew realnym możliwościom — do rodzinnej wsi, nie mógłby tu przeciw pozostać niezauważony. Niewątpliwie, tęp był ten hitlerowski żołnierz Huber, ale głupi aż do tego stopnia chyba nie był. Postać Hubera, w pewnym zakresie jego cech indywidualnych, wydaje mi się chybiona. Nie jest to rzecz bez znaczenia, skoro jego dezercja stanowi wiążący opowiadania.

W zestawieniu z okupacyjnymi relacjami takich autorów francuskich, jak Ara-

„Nie mamy żadnej równie silnej idei, którą moglibyśmy przeciwstawić komunizmowi”. — To zdanie czytałem i słyszałem po stokroć razy w koreańskich tygodniach lata 1950 w Berlinie Zachodnim i w Niemczech Zachodnich. Ktoregoś dnia znajomy mój, rozpoczynający szczerze nad „brakiem idei”, uderzył pięścią w amerykańskie pismo dla ludności niemieckiej, gdy przeczytał notatkę tej treści: „Z Waszyngtonu donoszą, że w ONZ oczekuje się radzieckiej propozycji rozpisania w całej Korei wolnych wyborów pod nadzorem ONZ, mających dać wyraz woli ludności co do przyszłego ustroju Republiki Koreańskiej. Kola zbliżone do Departamentu Stanu oświadczają, iż na propozycję tę rząd USA się nie zgodzi, ponieważ w obecnej sytuacji ludność całej Korei jest nastawiona wręco do USA i zwycięstwo partii komunistycznej byłoby niewątpliwe”.

Znajomy mój był pięścią w gazetę i krzyczał: „Boją się nawet wolnych wyborów! Jeśli nie znajdziemy idei, pozostanie nam bojaźń i rozpacz!”

II.

Horst L. jest od roku bezrobotny. Ma lat dwadzieścia. Jest członkiem Wolnej Młodzieży Niemieckiej. Horst L. otrzymuje gódowną zapomogę dla bezrobotnych, z której utrzymać musi matkę i dwoje młodszego rodzeństwa. O uzyskaniu stałej pracy nie ma co marzyć. Plan Marshalla dał Horstowi L. bezrobocie.

Ktoregoś dnia do portu hamburskiego przybyły statki wiozące broń i amunicję i krzyczał: „Boją się nawet wolnych wyborów! Jeśli nie znajdziemy idei, pozostanie nam bojaźń i rozpacz!”

Tego dnia, gdy poznałem Horsta L., władze okupacyjne zamknęły jedyny posterunek dziennik Hamburga „Hamburger Volkszeitung”.

„Mają strach przed prawdą” — skomentował wydarzenie Horst.

„Mają dość sily — powiedziałem — aby pozbawić Ciebie pracy, zapomogli, obrony w Twym piśmie, a jeśli się nie ugniesz, zamkną Cię w więzieniu”.

Horst spochmurniał, zaczął piścić, chciał coś złego powiedzieć, ale zdecydował — widać — inaczej, bo solnął tylko pgardliwie, po czym pozbawił klepnął mnie po plecach i rzekł:

„Boisz się Li-Syn-Manów...?”

Edmund Osmańczyk

Bolesław Dudziński

„CZYTELNIK”

„Złota Seria
Literatury Rosyjskiej”
Mikołaj Leskow
UTWORY WYBRANE
Tom I

Str. 368 zł. 350

„Klub Dobrej Książki”
Sandor Sasdi
PIEŚŃ ŻYCIA
Powieść

Str. 284 zł. 340

Borys Żitkow
HISTORIE MORSKIE
dla młodzieży

Str. 180 zł. 200

Maurice Cornforth
MATERIALIZM
DIALEKTYCZNY
A
NAUKI ŚCISŁE

Str. 85 zł. 100

TEKSTY ROSYJSKIE
„CZYTELNIKA”
Zeszyt Trzeci
(W. Kataljew — Wiadukt x Sen)

Str. 51 zł. 70

Henryk Sacharewicz,
Jan Zerebcow
ZASADY RADIOTECHNIKI

Str. 552 zł. 850

KORESPONDENCJA

WYPADEK SADEJA LEKCJĄ REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

Odpowiedź autora reportażu „Zetempowska robota” na uwagi zetempowca

W 21 numerze „Nowej Kultury” opublikowano uwagi zetempowca Józefa Grabowicza, poddające krytyce błąd ideologiczny mego reportażu „Zetempowska robota” („Nowa Kultura” nr 19) — skrytykowany już uprzednio przez Jana Aleksandra Króla w artykule „Więcej zetempowcy” („Wiś” nr 19). Po zapoznaniu się z treścią tych dwóch publikacji krytycznych, pozostaje mi jedynie przyznać się do błędów i uznać rację tych, którzy mi ten błąd wytknęli. Argumenty Grabowicza i Króla są tak oczywiste i wyczerpujące, że dalsza dyskusja w tej sprawie nie miałaby sensu — gdyby nie to, że w błędzie reportażu „Zetempowska robota” kryje się pewien aktualny i ważny problem pisarski natury ogólnej, który — moim zdaniem — zasługuje na bliższe omówienie.

U podstaw mego błędu tkwił błąd instruktora zetempowskiego Sadeja (nazwisko zmienione), który wydarzył się w rzeczywistości. Sadej — dążąc do zatrzymania za wszelką cenę w brygadzie zetempowskiej syna starej Karolkowej — w rozmowie z tą ostatnią użył argumentu odchylającego się zdecydowanie od linii partyjnej i świadczącego o całkowitym braku zrozumienia dla problematyki nowej wsi. Kol. Grabowicz dziwi się, jak podobny błąd mógł się wydarzyć uświadomionemu instruktorowi zetempowskiemu. Dzisiaj — po przeprowadzeniu wielu rozmów z instruktorami zetempowskimi na temat mego reportażu — zdziwienie to w zupełności rozumiem. Niemniej, błąd taki się wydarzył. Przypuszczam, że wynikał on w głównej mierze z atmosfery, jaka panuje w Nowej Hucie — z atmosfery najbardziej wywyższonej walki o każdą parę rak roboczych dla realizacji wielkiego Planu. W wysokiej temperaturze Nowej Huty dobra intencja Sadeja spaczyła się w nieprzemysłane słowa. Wysoka temperatura Nowej Huty sprawiła, że słowa te mogły się przeniżyć w dyskusji, niezauważone przez innego instruktora zetempowskiego, Gałęckę. Drugą — bardziej jeszcze zasadniczą — przyczyną, z której wypłynęło niesłuszne stanowisko Sadeja, musiały być zapewne pokutujące jeszcze w instruktorze stare błędy, jakie Komitet Centralny PZPR wytknął niedawno organizacji zetempowskiej, a więc: niewystarczające powiązanie się z Partią i wynikająca z tego „polityka wiosnego podwórka”.

Tak, czy inaczej — słowa rzucone przez Sadeja w rozmowie z Karolakową były wyrazem poważnego załamania ideologicznego. Ale należy podkreślić jedno: słowa te nie wyrządziły nikomu szkody. Błąd Sadeja w konkretnym wypadku miał znaczenie wyłącznie teoretyczne. Niedostrzeżenie

przez zainteresowanych zatonął natychmiast w wartkim potoku dyskusji. Błędem szkodliwym praktycznie stał się dopiero po utrwaleniu go bez żadnego komentarza w realistycznym reportażu. Wówczas bowiem odosobniony i nietypowy błąd Sadeja uzyskał rangę zjawiska typowego i został do pewnego stopnia przypisany wszystkim instruktorom zetempowskim z Nowej Huty jako wyraz ich stosunku do zagadnień wiejskich. W ten sposób doszło do deformacji naturalistycznej. Prawdziwy, ale nietypowy wypadek Sadeja, pokazany jako wypadek typowy, przestał odpowiadać realistycznej prawdzie.

Ze tak się stało, przekonano mnie jeszcze na długo przed ukazaniem się uwag kry-

tycznych Grabowicza i Króla. Bezpośrednio po opublikowaniu w „Nowej Kulturze” mego reportażu „Robota zetempowska”, rozmawiałem na jego temat z wieloma instruktorami zetempowskimi z „Nowej Huty”. Większość z nich zwróciła od razu uwagę na błąd Sadeja — zaznaczając tym samym odmienność swego stanowiska w tej sprawie. Niestety, rozmowy te przeprowadziłem zbyt późno. Gdybym je przeprowadził wcześniej — błąd Sadeja zyskałby właściwe nasświetlenie już w samym reportażu, a nie dopiero w późniejszej krytyce. Ale podobno nie ma z tego, które by nie wyszło na dobre. Wypadek Sadeja był dobrą lekcją realizmu socjalistycznego.

Marian Brandys

CZEKAMY NA POWIEŚĆ O MŁODZIEŻY

Przeglądając ostatnie numery naszych pism literackich, z wielką radością, jako zetempowec, stwierdzam, że coraz częściej na łamach tych pism można spotkać drogę nam trzy litery: ZMP. Stanowi to niewątpliwym dowód, że coraz bardziej docenia się rolę naszej ZMP-owskiej organizacji, widzi się nasze osiągnięcia i błędy, pragnie się udzielić nam pomocy. A pomoc ta jest nam bardzo potrzebna. Ostatnie Plenum Rady Naczelnej ZMP ujawniło szereg błędów, które doprowadziły do tego, że organizacja nasza nie spełnia należycie roli kierownika całej młodzieży, nie stała się jeszcze w pełni bojową awangardą budowniczych socjalizmu.

Jest jeszcze wiele ogniw zetempowskich, które nie żyją Planem Sześcioletnim, które, pełne najlepszych chęci, błąkają się w swej pracy. Tym kolegom trzeba jak najprędzej wskazać drogę, trzeba wydobyć olbrzymie zasoby sił tkwiących w masach młodzieży.

I tutaj właśnie zwracamy się o pomoc. Potrzebna nam jest powieść — epopeja mówiąca o bohaterstwie walki i pracy zetempowców, powieść mobilizująca młodzież w szeregi aktywności naszej organizacji. Krótko mówiąc, potrzebna nam jest: „Jak hartowała się sta”. Ostrowskiego w przeniesieniu na nasze warunki. Wybratem ten przykład dlatego, że powieść Ostrowskiego zawiera to, czego nam w tej chwili brakuje. Jest tam walka klasowa i walka z błędami

ideologicznymi, jest bohaterstwo komсомольców i jest rozprawa „z złą młodzieżą”. Jest to wreszcie powieść młodzieżowa powiązana głęboko z całokształtem przemian zachodzących w Rosji podczas i po rewolucji. A Komsomol jest tam rzeczywiście wiernym pomocnikiem Partii.

Więc nie reportażem już, nie krótkie strofki wierszy, ale rewolucyjną, napisaną ze stanowiska realizmu socjalistycznego powieść z pełnymi walorami artystycznymi.

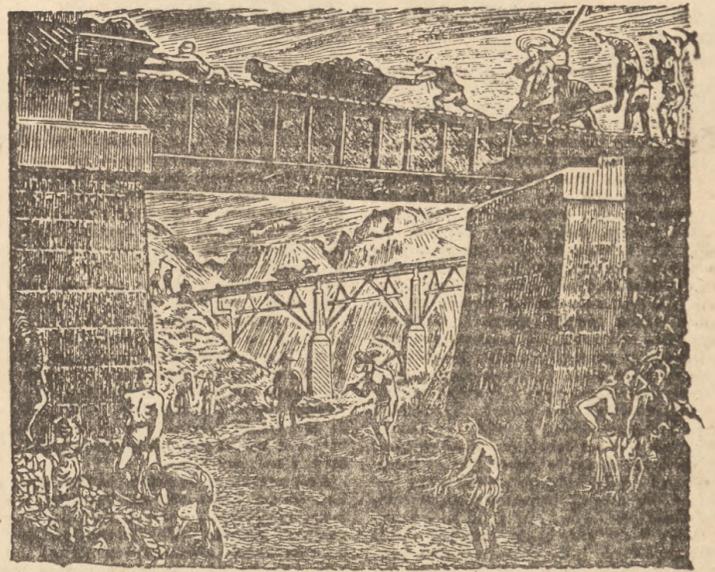
O taką powieść zwracamy się z prośbą do naszych literatów. Sądzę, że warto to sprawę postawić jako jedno z naczelnych zadań chwili obecnej. Uzasadniać tego nie trzeba, zresztą zrobili to już inni (T. Borowski, „Nowa Kultura”, Nr 20).

I jeszcze jedna sprawa: bez błędów ideologicznych i politycznych. Może to być dopuszczalne na łamach pism literackich, gdzie w dyskusji zawsze wykulka się ziarno prawdy. Młodzieży do spóźniada dać jednak tego nie można. Mógłby się to okrutnie zemścić.

Kończąc, wyrażam nadzieję, że dla towarzyszy z „Nowej Kultury” i stąd będzie jeszcze jednym argumentem w walce o nową powieść młodzieżową i że w przyszłości może zatwardniać na nasze sprawy serca literatów.

Z zetempowskim pozdrowieniem
Jerzy Nowak
Praska, pow. Wleń

Z grafiki chińskiej



Łud odbudowuj Mandżurię.

Naród francuski wygra tę bitwę

(Dokończenie ze str. 2)

szpiegów i sabotażystów w szeregu rewolucyjnego ruchu robotniczego. Pisze:

„Każdy rozłam wśród elity komunistycznej, bez względu na jego przyczyny i charakter, zmniejsza naszą pozycję w walce z komunizmem. W konsekwencji, głównym celem naszego działania powinno być wywołanie tych rozłamów, pogłębianie ich, wykorzystywanie i — o ile to możliwe — kontrolowanie i prowadzenie”.

Wyjaśnia również, że najlepszymi agentami wywiadu amerykańskiego są renegaci i emigranci. O renegatach pisze:

„Uważam, że ci, którzy, byli komunistami lub przynajmniej chcieli nimi zostać, są najlepszymi żołnierzami w walce z komunizmem. Sądzę, że będą i powinni spełniać rolę kierowniczą w walce z komunizmem”.

O emigrantach:
„Jasne jest również wszystko to co mogą dać z siebie emigranci w dzie-

dzie szpiegowstwa. O ile idzie o walkę z komunizmem, są cni bogatą żyłą, która została już wyeksploatowana, ale mogłaby być dać jeszcze więcej, gdyby nad nią bardziej systematycznie popracowano”.

Bohaterowie dzisiejszej burżuazji imperialistycznej nazywają się Rajk i K. stow, i szpiedzy imperialistycznych ambasad w Paryżu, Budapeszcie czy Warszawie, i tajni agenci zrzucony w spadachonach w Ałbanii przez włoską służbę szpiegowską pod kierownictwem amerykańskim, i plejada zdradców, których marszałkiem jest Tito.

Zrozumiałe jest, dlaczego pismy międzynarodowej reakcji atakują tak zawzięcie komunistów. Dlatego, że komuniści są najlepszymi obrońcami niezależności narodowej, której kres położyły pragną ich ciśi wspólnicy amerykańscy; są najlepszymi szermierzami pokoju, gdy tamci chcą uwikłać świat w wojnę, są najbardziej zapamiętaliymi wojownikami postępu społecznego, gdy tamci pragną wtrącić nasz naród w nędzę i niewolę.

We Francji 1950 roku są pracownicy, którzy w walce o pokój idą w pierwszym szeregu, komuniści, którzy są najbardziej aktywni, najbardziej oddani propagandzie Apetu Sztokholmskiego przeciw bombie atomowej. Ale we Francji 1950 roku jest jeszcze także, jak to określa Laurent Casanova:

„pewna elita, która już nie jest niczym innym, jak tylko elitą bankrutów. I kto wie. Nędza i obrzydliwa w obronie klasnych interesów klasowych, przyzwyczaila się służąc wrogowi, żyć w zgodzie ze swoim nieczystym sumieniem. Wyzbywając się wszelkich skrupułów, ludzie ci czują się bankrutami i godzą się z tym. Dla tej „elity” każdy odruch sumienia oznacza jeszcze jeden stopień upadku. Nie jest jej potrzebny wolny naród o napletę energii zdolnej do pokonywania przeszkód i usuwania trudności, potrzebny jest jej naród, który ostoją jej słabość, w konsekwencji — naród, który sjażdży siebie na brzegu drogi i zrzuca ładunek. Bankrucci wleżą, że droga jest trudna, ładunek ciężki, ale Hezga bardziej na niezachęcenie moralne, na rozpacz niż na zmęczenie fizyczne”.

Ta „elita” ukrywa własne bankructwo pod maską jakiejś „lewicy” i usiłuje przedstawić je jako bankructwo klasy robotniczej, usiłuje zaszczerze proletariatu swą własną rozpacz. Nie może jednak osiągnąć tego. Usługawia zawodzą ją do tego stopnia, że pewien reakcyjny krytyk (Maurice Nadeau w dzienniku „Combat”) stwierdził kilka dni temu z gorzkością: „Nie jest rzeczą przypadkową, że ta działalność zmienia się częściowo w rozpacz i nonsens, w błahostkę lub zamieszanie”.

Tak wygładają wszyscy ci pisarze politycyjni, demoralizatorzy naszego narodu.

Ludzie, którzy kierują walką proletariatu, dają mu inne przykłady. Maurice Thorez wszystkim „wrogom ludu, którzy usiłują teraz kłamstwem i oszczerstwem” przycmiec sławę bohaterów komunistycznych, odpowiedział na kongresie w Gennevilliers:

„Za późno, panowie! Już nie czas na to. Nie może panowie wprowadzić rozłamu do klasy robotniczej i partii komunistycznej narodu francuskiego. I skoro dzisiaj się, obrażają i niepokoją naszymi rosnącymi wpływami, naturalnie jeśli czytali i rozumieją naszych klasyków — aby rozważyli tę myśl: „Wierzę tylko w te opowiadania, za których prawdziwość świadkowie daliby się zamordować”. Niech sobie przypomną nazwiska komunistów, którzy poszli na śmierć z miłości do Francji, z miłości ojczyzny”.

„Komunizm — powiedział Paul Vaillant-Couturier — jest młodością świata”. Nie ulega wątpliwości, że jest również „szlachetnością świata”. Obok reakcyjnych demoralizatorów powstaje szereg postępowych pisarzy, którzy z zapałem prowadzą „bitwę o książkę” zapoczątkowaną i wspomaganą przez pisarzy i organizacje Francuskiej Partii Komunistycznej. Ta bitwa o książkę jest bitwą o postęp, o niezależność narodu, o pokój. Naród francuski potrafi ją wygrać.

Jean Kanapa
Redaktor naczelny
„Nouvelle Critique”

W SPRAWIE „NOWYCH PRZYGÓD SZWEJKA”

Niemal wszyscy krytycy i recenzenci, piszący o komedii satyrycznej „Nowe Przygody dzielnego wojaka Szwajka” (wg powieści M. Słobodskoj), granej obecnie w Warszawie, stwierdzają że nie czytali powieści. W związku z tym, zarówno w pozytywnych ocenach tej rzeczy, jak i mniej pozytywnych, nastąpiło poważne zamieszanie: szereg komentarzy pod moim adresem należy się autorowi powieści, na szereg zarzutów, które spotkały mnie, powinien raczej odpowiedzieć Słobodskóji. W zastępstwie autora powieści poczytuje sobie za obowiązek wyjaśnić te „szwejkowskie nieporozumienia”.

Powieść satyryczna Słobodskoj p. t.: „Nowe przygody dzielnego wojaka Szwajka” drukowana była podczas wojny w najpopularniejszym tygodniku radzieckim „Ogoniok”, następnie zaś w wydawnictwie komсомольskim „Młoda gwardia”. Ukazywała ona dzieje haszkowskiego Szwajka, wplątanego w wir drugiej wojny światowej i dała milionom ludzi radzieckich, walczących z hitlerowcami, pożytny ładunek optymizmu i śmiechu, wyszydzący przede wszystkim ideę „wyższej rasy” i inne ideały nazizmu. W okresie odradzającego się pod skrzydłami amerykańskimi neo-hitleryzmu i wajuącego faszystyzmu stała się znów wyjątkowo aktualna i dlatego przeniosłem ją na scenę.

Słobodskóji nie udało się (i jak okazała reakcja milionów jego czytelników — słusznie) niebezpieczeństw wynikających z przeciwstawienia machinie hitlerowskiej — malej śmiesznej postaci „zół-

nierza mimo woli”, który reflektorem swej gawędziarskiej filozofii oświetla wszystkie potworne nowotwory faszystów. Ukazuje one w zetknięciu się z nim cały swój straszliwy bezsens, swą zbrodniczą i cyniczną treść. W powieści swej Słobodskóji atakuje przede wszystkim — poświadczona jest temu w całości odsona pierwsza, w której Szwajek staje przed komisją „rasową”. Następny c’os wymyśla Słobodskóji swoistej „eugenicy” hitlerowskiej, która zmierzała do wypełnienia luk ludnościowych przy pomocy terroru obyczajowego. Odsona druga ukazuje ten właśnie fragment powieści radzieckiego autora, nieco stuszowany przez adaptatora ze względu na wymogi sceniczne: w powieści bowiem pochodzi Oberführerowa a Szwajkiem dochodzi do bardziej zasadniczych związków. Tak kolejno dokonywa Słobodskóji w w’sekcji lancetem sarkazmu i szyderstwa na rozmaitych objawach hitleryzmu, ukazując cyniczne wnętrza soldierskiej faszystowskiej, która zabraniała żołnierzowi myśleć i czytać — oraz służalczość, grabieżczość i zbrodniczość sojuszników hitlerowskich. I wreszcie w kapitalnej scenie wieszania Szwajka ukazuje filozoficzny protest „człowieka poczciwego”, który dowiedział się wreszcie od faszystów, że „głowa służy nie tylko do jedzenia, i nawet nie do myślenia, ale do — wieszania”.

Czy tego rodzaju utwór satyryczny spełnia dobrze swe zadanie w chwili, gdy odzywają dawne koszmary faszystowskie i kiedy imperialistyczny grabieżczy gróź światu wojną? Czy Szwajek haszkowski miał prawo dojrzeć i nabrać świadomości klasowej w toku dokonywających się wielkich przemian społecznych? Czy wreszcie Szwajek, choćby reprezentował nawet dawny rodzaj filozoficzny „szwejkizmu”, ma prawo do brania udziału w ruchu oporu a potem w walce z okupantami swego kraju, prawo, którego odmawiają mu niektórzy recenzenci?... Oto pytania, na które najlepiej, jak sądzę, odpowiedział czytelnik radziecki, a obecnie odpowiadają polski.

Moim obowiązkiem zaś było tylko wyjaśnienie, jaką rolę odegrał w przeróbce scenicznej materiał powieści pisarza radzieckiego, która spełnia tak wybitną rolę w czasie najcięższych walk Związku Radzieckiego z faszystem.

Anatol Stern.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICZWE SZKOLNYCH

Witold Adolph. Zaba. Monografia zoologiczna. Wydane drugie, przejrzone przez J. Bowkiewicza. (Biblioteka Przyrodnicza). Warszawa, 1950; str. 143 i 1 n.

Karol Darwin. Autobiografia. Przełożył Jan Wilczyński. (Biblioteka Przyrodnicza). Warszawa, 1950; str. 73 i 4 n.

Kuzma Skotobogaty. Rosyjska baśka ludowa. Opracował Aleksy Tolstoj. Przełożył Kazimierz Truchanowski. Ilustrował Józef Kozłak. Warszawa, 1950; str. 15 i 1 n.

Walenin Katejew. Bielejet parus odinok. Opracował i wstępem opatrzył Wiktor Jakubowski. Warszawa, 1950; str. 180.

„KSIĄŻKA I WIEDZA”
Wasilij Ażajew. Daleko od Moskwy. Powieść. Przełożył z rosyjskiego Marian Ruth Buczkowski. Część II i III. (Biblioteka „Trybuna Ludu”). Warszawa, 1950; cz. II, str. 223 i 1 n.; cz. III, str. 227 i 5 n.

Józef Morton. Inkluzowe wiano. Wydanie trzecie. (Biblioteka „Chłopskiej Drogi”). Warszawa, 1950; str. 334 i 2 n.

Wanda Wasilewska. Ziemia w jermie. Wydanie trzecie. (Biblioteka „Chłopskiej Drogi”). Warszawa, 1950; str. 222 i 2 n.

Wacław Tokarz. Insurekcja warszawska 17 i 18 kwietnia 1794 r. Wydanie II. Przemowa Henryka Jabłońskiego. Warszawa, 1950; str. 371 i 5 n. i 1 kni (mapa).

Witold Zaleski. Brzoń. Okładkę projektował Jan Lenica. Warszawa, 1949 r. str. 189 i 3 n.

Maurice Cornforth. Nauka przeciw idealizmowi. Rozważania nad „czystym empiryzmem” i logiką nowoczesną. Warszawa, 1949; str. 392.

F. Panfilow. Brusk. Tom III i IV. Przełożył Jerzy Brzeczowski. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, 1950; t. III, str. 309 i 3 n.; t. IV, str. 363 i 5 n.

Mieczysław Jastrun. Rok urzędaju. Okładkę projektował Jerzy Chereka. Warszawa, 1950; str. 80 i 4 n.

Jan Zabiński. A czy o tym wiele? Ilustracje Kazimierz Grusa. Okładkę projektował Stefan Bernaciński. Warszawa, 1950; str. 138 i 1 n.

Iwan Turgieniew. Rudin. Powieść. Tłumaczył z rosyjskiego Stefan Kłaczewski. Okładkę projektował Aleksander Bernaciński. Warszawa, 1950; str. 141 i 1 n.

I. Tułgieniew. Dym. Tłumaczył T. Stepienewski. Wydane drugie. Warszawa, 1950; str. 183 i 1 n.

W. Warszonafewa. Co się działo przed milionami lat. Przekład B. Lubarskiej. (Nauka i Życie. Seria II.8). Warszawa, 1950; str. 29 i 5 n.

Józef Kulikowski. Na morzach bliskich i dalekich (Gawędzy rybaczki). (Biblioteka Morska. 2). Warszawa, 1950; str. 60 i 4 n.

Karol Malczewski. Była to wielka narada wytwórcza. (Biblioteka Przedowników Pracy Nr. 42). Warszawa, 1950; str. 92 i 4 n.

B. Lubimow. Edward Frebergs. lotewski przedownik pracy. Tłumaczyła z rosyjskiego Ludmiła Ike-Dubinowska. (Biblioteka Przedowników Pracy. Nr. 39). Warszawa, 1950; str. 103 i 1 n.

Kazimierz Koźniewski. Extry i primy. Błwa o jakości w przemyśle bawelnianym. (Biblioteka Przedowników Pracy. Nr. 40). Warszawa, 1950; str. 83 i 3 n.

Henryk Wójcik. Walczyłem, teraz pracuję. Opracowanie literackie: SAMAR. (Biblioteka Przedowników Pracy. Nr. 36). Warszawa, 1950; str. 31 i 1 n.

Emil Zola. Kłeska. Tom II. Przełożył Gabriel Karski. Okładkę projektował Miłczyśław Piotrowski. Warszawa, 1950; str. 214 i 2 n.

„CZYTELNIK”
Anna Sehera. Ocalenie. Powieść. Z języka niemieckiego przełożył Janina Małacka i Maria Wolcicka. Okładkę projektował Henryk Tomaszewski. (Klub Dobrej Książki. II.1950). Warszawa, 1950; str. 405 i 3 n.

Wilhelm Mach. Rdza. (Biblioteka w Prenumeracie. III.1950). Warszawa, 1950; str. 401 i 1 n.

H. G. Wells. Kłops. Tłumaczyła z angielskiego Celina Wielewska. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, 1950; str. 421 i 3 n.

Albert Halper. Dcm pod Starym Łuczniem. Przełożył z języka angielskiego Tadeusz Dłebel. Okładkę projektował Ryszard Sidorowski. Warszawa, 1950; str. 515 i 5 n.

Rodoł (Mikołaj Blernacki). Salyry i fraszki. Wstęp napisał Jan Szlag. Ilustrował Mieczysław Piotrowski. Okładkę projektował Eryk Lipiński. (Biblioteka „Szpilek”). Warszawa, 1950; str. 187 i 1 n.

André Chamson. Studnia cudów. Powieść. Przełożył z francuskiego Ryszard Matuszewski. Okładkę projektował Tadeusz Kowalski. Warszawa, 1950; str. 250 i 2 n.

Jean Bullier. Świadectwo prawdziwe. Tłumaczył z języka francuskiego Marian Czerwiński. Warszawa, 1950; str. 46 i 2 n.

„NASZA KSIĘGARNIA”
Łąka. Rysowała Eugenia Różańska. Warszawa, (br.); kni 6.

Teodor Goździńkiewicz. Frycykowe czasy. Legenda. Ilustrował Stefan Sztuczynski. Warszawa, 1949; str. 94 i 1 n.

A. Bironina. Onowielś lekarza zwerzat. Przełożyła z rosyjskiego Natalia Olszewska. Ilustracje T. Faiznera reprodukowane z wydania rosyjskiego. Warszawa, 1950; str. 60 i 4 n.

Jadwiga Korczakowska. W ogródku Kasl. Ilustrował Bogdan Zeleniec. Warszawa, 1950; str. 30 i 2 n.

Jan Grabowski. Finek. Opowiadanie o psie. Wydanie ósme. Okładka szklana. Bezwadownego. Ilustracje Ksawęgo Kłamińskiego. Warszawa, 1950; str. 127 i 1 n.

G. Borowikow. W kapłiskich dzunglach. Przełożył z rosyjskiego Stanisław Niewiadomski. Ilustracje B. Jerkielewa reprodukowane z wyd. rosyjskiego. Okładka Zzymunta Loreca. Warszawa, 1950; str. 101 i 3 n.

A. Katusznikow. Oświata radziecka w latach 1917 — 1947. Przełożył z rosyjskiego Saturnin Racnowski. Warszawa, 1950; str. 70 i 2 n.

Borys Zytkow. O sioniu. Przełożyła z rosyjskiego N. i K. I. Gałczyńska. Ilustracje i okładka A. Laptiewa (z wydania rosyjskiego). Warszawa, 1950; str. 15 i 1 n.

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str. 395 zł 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 zł 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 zł 250

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str. 395 zł 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 zł 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 zł 250

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str. 395 zł 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 zł 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 zł 250

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str. 395 zł 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 zł 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 zł 250

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str. 395 zł 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 zł 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 zł 250

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str. 395 zł 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 zł 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 zł 250

„Czytelnik”
Stefan Żeromski
UCIEKA
MI PRZEPIÓRECZKA
str. 127 zł 150

Teodor Tomasz Jeż
PAMIĘTNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 zł 370

„Biblioteka Stuzlotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKĄ
str.

mała kronika



lucha" prowincja, „zapadłe" wieś i miasteczka! Gazeta przychodzi tu po podwórku, na warszawską musisz czekać dwa dni; po lekarza jedź się do powiatowego miasta, czterdzieści kilometrów w jedną stronę; kino od ludzkiej pamięci w gminie nie bywało. Właśnie

w takich wsiach i miasteczkach, jak pajak w kącie pokoju, nachętniej ukrywa się wróg. To właśnie tu łaził po chatupkach świadkowie J'howy, agitując przeciw apelowi sztokholmskiemu; tutaj najdłuższą grusowaty bandy; tutaj kulał trzyma się pazurami swych pozycji. Kutak i — biurokrata. Oto odbywała się niedawno narada wytwórcza w pewnej cegielni. Towarzystwo z fabryki pokazywali mi stopy desek i sterły belek zaważające plac. Cegielnia potrzebuje natychmiast dwu suszek do suszenia cegły. To pozwoliłoby podnieść produkcję cegły o pół miliona sztuk. Nie dość na tym: codziennie wychodzi w cegielni kilka tysięcy nowych cegieł, których nie ma gdzie podziwiać. My chcemy wypełnić plan sześciolatni przed terminem, mamy na to warunki, mamy ludzi, cóż, kiedy gdzieś w górę siedzą biurokraci i nie pozwalają nam rozwiniąć wszystkich naszych sił. Chodźcie, kolego, powiedzieli mi robotnicy, i popatrzcie: ile dziesiątków tysięcy cegły leży u nas na składzie! Nikt się o nie nie troszczy. Jasna rzecz, że martwimy się obojętnością czynników. W naszej cegielni nie rzuca się słów na wiatr; kiedy towarzysze mówią, że się martwią, to znaczy, że troska o produkcję leży im naprawdę na sercu. Troska i nienawiść do biurokratów. Rozumiemy, że jak walka o pokój nie kończy się na złożeniu podpisu pod apelem, tak i walka o wykonanie planu nie ogranicza się do troski o swoją maszynę, o swój odcinek pracy, że zwycięstwo w niej zdobędziemy nauczywszy się nowego stosunku do pracy i własności socjalistycznej.

Kiedy patrzyłem na cegłę leżącą bez właściciela na placu małej cegielni, myślałem wtedy z melancholią o pewnej szkole kolejowej pod Dęblinem. Uczniowie tej szkoły jeszcze jesienią wybudowali fundamenty nowego budynku i do wiosny czekali na tyśiące sztuk cegły, aby rozpocząć budowę gmachu. W szkole mają się kształcić synowie biedniaków na maszynistów i mechaników. Ta szkoła tęskni do cegielni, a cegielnia tęskni do szkoły. Ale między nimi jak zła czarownica stanął, rozkrzącał się tępy biurokrata, przegrządził im drogę „odpowiednimi" papierkami.

Odpowiednie papierki! Oto zwiadałem sąsiedni PGR. Majątek pohrabowski, zagospodarowany przez byłych fernali pana hrabiego. Fornale ułożyli swój plan sześciolatni, wyspecjalizowali się w hodowli nasion wysoko kwalifikowanych, zaopatru-

ją w zboże siewne całe województwo. Trzeba wiedzieć, że wieś i miasteczka województwa są w większości zelektryfikowane. PGR, jedyny w powiecie, winien służyć wzorem nowego życia okolicy. Otóż PGR — jedyny w powiecie — nie ma światła. Pan hrabia o fernali nie dbał, a kiedy po wojnie zelektryfikowano okolice, z PGR-em zaczęły dziać się cuda, przy których również cud lubelski — to kaszka z mlekiem. Gospodarstwo ułpaciło kilkadziesiąt tysięcy złotych na stopy. Prywatna firma wykopała trzy stopy w ziemię, potem po roku je wykopała i wywoziła się do Krakowa, zostawiając nadzieję, że powróci. W oborach pała się po staremu gąganiki, tylko pożar coraz bardziej zagraża trzodzie, gdyż zbliża się zima. Dla lepszego dowcipu stopy linii wysokiego napięcia, dostarczającej prąd okolicy, biegną przez pola PGR-u. Można je co wieczór oglądać, jak ciemnieją na tle nieba, a potem patrzeć w okna, w których mruga naftowa lampa.

Tak przebiega zaciekle walka klasowa na jednym tylko odcinku produkcji i budowy spółdzielni i rozwoju PGR-ów w „zapadłym" zakątku, kilka kilometrów od kolei, czterdzieści kilometrów od lekarzy i gazet. Pisarz, który wyjeżdża w taki teren, rychło uczy się, że w walce klasowej nie ma zapadłych zakątków. Tysiące i dziesiątki tysięcy sposobów wymyśla wróg, aby spętać inercyjny robotnika, osłabić bieg produkcji, podciąć plan, zniechęcić młodzież, wbić klin między aktywistów i wahaających się, słabych ludzi. Pisarz, który szuka węża i rozstrzygnięcia konfliktu socjalistycznego, rychło uczy się elementarza pracy literackiej: przestaje być biernym obserwatorem, przemienia się w aktywną polityczną, bierze udział w dyskusjach, pisze listy i upomnienia, protokoły i przynaglenia. Piękne jest zadanie pisarza w tej walce: przez dzieło sztuki wskazać drogę działania, przemówić do sumień i serc ludzi, zamaskować wroga i — jak w chorobie zakazanej — wskazać symptomy, po których poznaje się szkodliwe bakterie. Bo tutaj, na „zapadłej" prowincji, jak na całym świecie, wielkie zadania walki o pokój i budowania nowego społeczeństwa spłatają się z codzienną walką o produkcję, o znośniejsze warunki pracy i mieszkania robotników i chłopów, z walką przeciw wrogiej propagandzie, biurokratyzmowi i szkodnictwu.

W tej codziennej walce, tutaj, w cegielniach i fabrykach, w miasteczkach i wsiach, w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach, w czołwach sanitarnych i urzędach — czci się wzmocniona praca pamięć poległego towarzysza Lahaut, podaje pomocną dłoń narodom walczącym o wyzwolenie, pomaga się narodzinom nowego, naszego świata. Świata planu sześciolatniego.

Tadeusz Borowski

Z grafiki niemieckiej

Drzeworyt — Werner Klemke

Neohitlerowska policja Trizonii rozpędza demonstrację ofiar faszyzmu w Wiesbaden



Drobizg — nie takie rzeczy robiło się w Warszawie

Kardynalskie sumienie

W celu remilitaryzacji Niemiec Zachodnich władze okupacyjne usiłują zmobilizować wszelkie środki propagandowe. Do akcji tej udało się wciągnąć również kilku wysokich dostojników kościelnych. M. n. kardynał Frings, arcybiskup Kolonii, wygłosił do 25.000 wiernych zgromadzonych w Bonn orację militarną pod płaszczykiem religii. „Byłoby zbrodnią — mówił — rozpętać wojnę lekkomyślnie. Ale byłoby nieodpowiedzialnym czynem trwać w ego-



istycznej neutralności. Ktokolwiek przywiązuje wagę do porządku ustanowionego przez Boga, grzeszy przeciwko Bogu, jeżeli się wstrzymuje od obowiązku nowego odbudowania zniszczonego ładu, nawet przez użycie siły zbrojnej. Propaganda przeciwwojenna, absolutna i bezstronna, nie jest zgodna z ideą chrześcijańską". Natomiast usługi oddawane agresorom amerykańskim są widocznie zgodne z sumieniem kardynała Frinsa.

Zatrute pochwały

Słusznie przygwoździł r. m. (w Nr. 21) recenzję W. Roli z książki Brandysa „Troja miasto otwarte", wykazując jej fałszywość i wyraźnie złą wolę recenzenta. Uszedł jednak jego uwadze pewien passus, który trudno nazwać inaczej niż lobuzerską prowokacją.

Rola pisze o Szarleju: „Dnie jego są przerażająco puste, nie wypełnia ich żadne działanie, nie ożywia żadna twórcza koncepcja, żadna ideologia, żadna wiara po za wiarą w bezsensowny cynizm poczynań" — i z bezczelnym cynizmem dodaje: „przywodził to nieodparcie na myśl świetnie oddaną (podkr. nasze) przez Adolfa Rudnickiego w „Palczecz" atmosferę środowiska literatów".



Krytyka marksistowska uwypukliła błąd „Palczki". Ważyk trafnie wykazał „jak nieprawdziwy jest ten obraz środowiska literackiego wysnuty przez Adolfa Rudnickiego" — ale recenzent katolickiego tygodnika uznał go za „świetnie oddany". Apolityczne, co? Pi-

Komentarze

sane z ponadklasowym obiektywizmem aniołom na chwałę?

Nie poruszaliśmy po raz drugi sprawy owej recenzji — ale warto na tym charakterystycznym przykładzie pokazać z jaką łącznością przykładać wrogów klas — w na każde nasze potknięcie, na każdy błąd czy wahanie, na zejście, chociażby mimowolne, z trudnej drogi pisarstwa socjalistycznego. „Kiedy wrogowie moi zaczynają mnie chwalić — to znaczy, że czynię źle" — mawiał August Bebel. Miał rację. Pochwała, która wychodzi z ust wroga klasowego, bywa czasem najlepszym dowodem naszego błędu

gbl.

Wychowanie Herrenvolku

Rekrutacja do armii amerykańskiej daleka jest od spontanicznego entuzjazmu. Rząd amerykański musi użyć wielu środków dla zachęty swoich obywateli w wieku poborowym. Niektóre środki propagandowe znakomicie świadczą o rosnącej megalomanii władców nowego Herrenvolku, niewiele jednak mają wspólnego z obiektywną rzeczywistością. Tak np. rozplakatowany ostatnio w Nowym Jorku afisz rekrutacyjny podaje miłomy



Amerikanom do wierzenia wstrząsające rewelacje historyczne. Głosi on mianowicie:

„Młodzi Jankes! Nasza planeta jest planetą amerykańską. Wybieraj co wolisz: tropikalne wyspy Guam czy polkrytą śniegiem Islandię, Filipiny czy zachodnie Niemcy, Wielką Brytanię czy Grecję".

By obraz ten przypominał w całości dobrze nam znane mity o panimperium świata, trzeba dodać, że i wychowanie nowych zdobywców oparte ma być na nowych wzorach. Oficerowie-wychowawcy otrzymali instrukcje mówiące, iż żołnierze mają być wychowywani w poczuciu, że są „elitą świata", przy czym należy w nich rozwijać „naturalny instynkt walki i mordowania".

Wszystko to dobrze znane, choć brzmi rzeczywistość jak słowa z innej planety. Wiemy też, na szczęście, jak na planecie naszej, zamieszkałej przez ludzi, kończą się takie „kosmiczne" plany garstki zbrodniczych imperialistów.

opl.

W Hiroszynie nie wolno mówić o pokoju

Mineło pięć lat od chwili, gdy Amerykanie zrzucili pierwszą bombę atomową na Hiroszimę. Przez cztery lata proletariát Hiroszimy w dniu odnośnej rocznicy uroczystie manifestował swą wolę pokoju. Manifestacje pokojowe miały się odbyć i w roku bieżącym, ale władze miejskie kategorycznie odmówiły na to zezwolenia, orzekając dosłownie, że „manifestowanie na rzecz pokoju jest w chwili obecnej sprawą nie na czasie".

Należy przedsięwziąć takie same środki jak w przypadku osób, którym zadano przypadkowe rany.

69. Nikt nie powinien wiedzieć o zadaniu tortury z wyjątkiem osób obecnych przy niej. Pod żadnymi warunkami nie powinni wiedzieć o tym inni więźniowie. Bardzo ważne jest przedsięwzięcie środków zapobiegających przedostaniu się krzyków na zewnątrz.

Nie trzeba pisać glosy do tego tekstu. Natomiast należy go przeczytać kilkakrotnie, bo za pierwszym razem nie odkrywa się wszystkich jego piękności i subtelności stylu. Staranne rozróżnienie, że tortura jest korzystna jedynie czasem, zależnie od okoliczności (62); stwierdzenie, że tortura działa się stosunkowo łatwo (63); dbałość, by tortura nie pozostawiała uczucia niechęci do cesarstwa (63); przestrzeżenie przed postacią tortury, która by w zadającym ją wywoływała litość (65); dopuszczanie myśli o jedynie przypadkowym poranieniu badanego (66); przekonywanie torturowanego, że to całkiem naturalny środek (68) itd. itd. — toż to są perły oprawione tak dyskretnie, że ta i owa może ująć uwagi przy jednorazowym czytaniu.

Stylistycznie dokument ten przypomina delikatne japońskie rysunki pórkiem. Oczywiście, największe osiągnięcie mieści w § 66 i 68 „Przedsięwzięcie stanowcze środki" — trzy słowa — a ile trupów ludzi „stosunkowo łatwo" zmasakrowanych?

Jan Zak.

Osobliwszego i bardziej cynicznego zakazu nie mógłby wydać sam Mac Arthur, gdyby był burmistrzem Hiroszimy Zresztą Mac Arthur może być uznany za rodzaj „honorowego obywatela" Hiroszimy, nie więc dziwnego, że jego duch żyje i prosperuje w orzeczeniach tamtejszej municypalności.

Na szczęście duch Mac Arthura okazał się mniej długowieczny w Nagasaki, drugim z kolei mieście, które zdruzgotała bomba atomowa Hiroszimy Ohaszi, tamtejszy burmistrz, oświadczył w tych dniach coś zupełnie innego. Powiedział tak: „Żadna istota ludzka nie będzie śmiała rozpętać nowej wojny, gdy zobaczy przerażające ruiny miasta zburzonego bombą atomową. Do Hiroszimy i do Nagasaki należałoby wysłać „pielgrzymki" mężów stanu z całego świata".

Na czele pierwszej „pielgrzymki" powinni stanąć panowie: Truman, Acheson i Mac Arthur.

Mąż stanu i jego filozof

Nie od dziś różne odmiany imperialistycznych agresorów usiłują uzasadnić swoje poczynania specjalnie skonstruowaną doktryną tworzoną przez „filozofów" i „naukowców" reżimu. Miał takich nadwornych „filozofów" Hitler i Mussolini, znalazł takiego również i Truman. Jest nim niejaki James Burnham, wychowanek uniwersytetu w Oxford i Princeton, gdzie został promowany ze stopniem „summa cum laude", od roku 1929 profesor filozofii na uniwersytecie w Nowym Jorku. Dodać jeszcze trzeba, iż jest to dawny trockiści, ongiś naczelny redaktor wychodzącego w USA trockistowskiego organu „Wiadomości międzynarodowe". W końcu roku 1949 p. Burn-



ham wydał książkę p. t. „Ku pogromowi komunizmu" i, rzecz znamienita, w pięć miesięcy później został mianowany „doradcą specjalnym" prezydenta Trumana. Jak pięknie łączy się wywoływanie trockistowskich „wskazań" p. Burnhama z praktycznymi posunięciami polityki amerykańskiej.

Tak nie można

„Przekrój" (Nr 280) poświęcił całą notatkę setnej rocznicy urodzin Maupassanta. Sprawa byłaby chwalebna, gdyby nie nonszalancja i balamucja tej notatki, zredagowanej niby przegłównym nekrolog osobistości, którą trzeba koniecznie pochwalić, chociaż wzię się o niej tylko coś tam pięte przez dziesiątę C / almy:

„Guy de Maupassant jako młody człowiek był zwykłym urzędnikiem w jakimś ministerstwie — dopiero pod wpływem kuzyna swej matki, innego pisarza francuskiego, Gustawa Flauberta, rozpoczął pisać krótkie nowele i opowiadania z życia współczesnego (podk. si)".

To ma być popularne pisanie dla mas w jednym z najpoczytniejszych tygodników polskich. Znać w tym od niechcenia machniętą kompilacyjkę paru danych z encyklopedii. A co za sformułowanie! Urzędnik w jakimś tam, panie kochany, ministerstwie! Należało albo wymieścić to ministerstwo, albo powiedzieć ogólnie, że Maupassant był urzędnikiem ministerialnym. Z kolei o Gustawie Flaubercie pismo, które drukuje „Annę Kareninę" Lwa Tołstoja, nie może mówić: „Inny pisarz francuski", bo w ten sposób wykazuje brak poszanowania dla publiczności literackiej. Flaubert to po prostu Flaubert, albo też pisarz z jakimś specjalnym przymiotnikiem, którym chcemy go zindywidualizować. „Krótkie nowele i opowiadania" — Nowele są, jak wiemy, w ogóle krótkie, a opowiadania Maupassanta obejmowały częstokroć po sto i więcej stron druku, więc wcale krótkie nie były. Krótka nie była „Baryteczka", którą autor notatki niepotrzebnie nazywa „kulka tojowa", wznawiając pamięć słusznie zapomnianych, słabych przekładów sprzed kilkudziesięciu lat.

No, i ogólne ujęcie twórczości Maupassanta. Jego nowele były „trafny uchwyceniem najbardziej istotnych cech społeczeństwa kapitalistycznego, którego gnijłą demaskował z pasją, jedynie wśród prostego ludu odnajdując piękno duchowe i prawdziwą godność człowieka".

„Najbardziej istotne cechy społeczeństwa kapitalistycznego" — to jest zwykły frazes, jeżeli nie ma dalszego rozwinięcia w zdaniu. To jest wsta zamiast treści. A „piękno duchowym" Maupassant się wcale nie zajmował. Wolął brudy duchowe, bo był — jak to się mówi — urodzonym satyrykiem. Na tle realistycznej twórczości Maupassanta „piękno duchowe" (apokaliptyczna to bestia) tak — a — suje do „prostego ludu", jak baudelaire'owski spleen do starego Boryna.

No, i cóż, czytelniku „Przekroju", dowiedziałe się o Maupassancie? si

DOKUMENT

W ostatnich dniach ubiegłego roku prasa donosiła o procesie, który odbywał się w Chabarowsku od 25 — 30 grudnia 1941 przeciw dwunastu wojskowym „japońskim oskarżonym o przygotowywanie i używanie broni bakteriologicznej podczas II wojny światowej. Z procesu tego, który odsłonił potworne „szczegóły barbarzyństwa faszystowskiego, ogłoszono niedawno w Moskwie stenograficzne sprawozdanie (także po francusku, angielsku i niemiecku) zawierające m. in. następujący dokument z tajnych akt japońskiego sztabu generalnego:

Reguły zasadnicze przy badaniu jeńców wojennych.

1 Reguły niniejsze odnoszą się do przesłuchiwań mających na celu uzyskanie informacji, nie zaś do przesłuchiwań przestępczych.

2 Osoby, które się poddały, dezertowały, ujętych szpiegów nieprzyjacielskich, osoby nielegalnie przekraczające granice, załogi samolotów lądujących przymusowo i statków przymusowo przybierających do naszych brzegów, zbliżających się do naszych brzegów, zbliżających się do naszej armii, mieszkańców okręgów świeżo przez nas zajętych a także uchodźców z terenu wpływów nieprzyjaciela — przesłuchuje się, z wyjątkiem co do kwestii specjalnych, zgodnie z metodami przesłuchiwań jeńców wojennych.

62 Czasem, zależnie od okoliczności, jest korzystne stosowanie tortury, często

jednak może to prowadzić do szkodliwych następstw a przedtem przed zastosowaniem jej należy starannie rozważyć, czy należy to zrobić. Ponadto trzeba torturę stosować w ten sposób, by nie wywołała złych konsekwencji dla nas.

63. Torturę, zadawanie cierpień fizycznych, należy stosować bez przerwy, tak by nie było innego sposobu uzyskania ulgi w cierpieniu, jak tylko przez udzielanie prawdziwych informacji.

Tortura jest korzystna dzięki szybkości, z jaką można stosunkowo łatwo zmusić osoby o słabej woli do złożenia prawdziwych zeznań; zachodzi jednak niebezpieczeństwo, że badany osobnik — aby uwolnić się od cierpień lub przypodobać się badającym — zezna nieprawdę. Co się tyczy ludzi o silnej woli, to tortura może wzmocnić ich siłę oporu i pozostawić w nich po badaniu uczucie niechęci do cesarstwa.

64. W stosunku do osób o słabej woli stosuje się torturę zazwyczaj w tych przypadkach, gdy badany nie mówi prawdy w obliczu nawet dowodów, ale można w pełni przypuszczać, że będzie mówił szczerze, jeśli zastosuje się tortura.

65. Trzeba koniecznie pamiętać, że metody torturowania muszą być takie, iżby można było zastosować je łatwo by zadawały cierpienia bez wywoływania uczuć litości i by nie pozostawiały ani ran ani blizn. Jednakowoż w przypadkach gdy trzeba wywołać obawę śmierci, można nie wahać na zło wyrządzane badanemu, trzeba to jednak robić w

sposób, który by nie uniemożliwiał dalszego badania.

Oto przykłady tortur:

1) Zmuszanie do siedzenia prosto i bez ruchu.

2) Zakładanie ołowków pomiędzy palce niedaleko nasady, włożenie końców palców sznurkiem i poruszanie nimi.

3) Ułożenie badanego na plecach (wskazane jest podniesienie nieco stóp) i wsączanie wody równocześnie do nosa i ust.

4) Ułożenie badanego na boku i kopanie go w kostkę.

5) Zmuszanie badanego do stania pod półką, która jest za niską, by umożliwić mu wyprostowanie się.

66. W razie przypadkowego zadania badanemu rany należy — licząc się z ogólnym położeniem i interesem naszego kraju — przedsięwziąć stosowne środki, biorąc za nie pełną odpowiedzialność.

67. Po otrzymaniu zeznań na skutek tortury należy sprawdzić, czy zeznania te nie są wynikiem chęci uniknięcia dalszych cierpień i przypodobania się badającym; w takich razach potrzebne są pewne dowody na poparcie prawdziwości zeznań.

68. Po zastosowaniu tortury należy przekonać osobę, która ją przeszła, że był to całkiem naturalny środek; albo też należy przedsięwziąć środki, które skłonią ją do tego, że z poczucia dumy, poczucia honoru itp. nie będzie mówił o tym później. W stosunku do osób, po których nie można się tego spodziewać,

Redaguje Zespół.

Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12. tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—; kwartalnie zł 300—; półrocznie zł 600—; rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: zł 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.